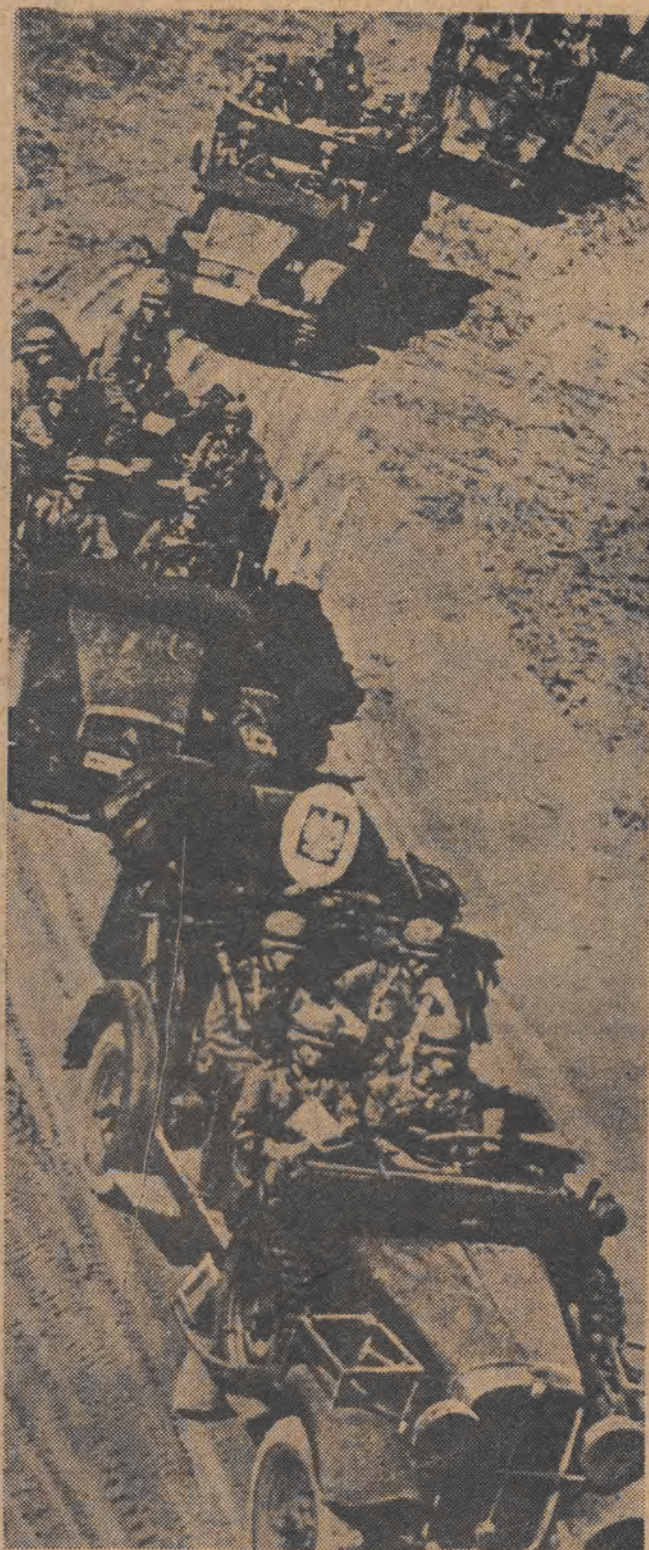


20 LAT TEMU
1 września 1939 r.



WŁADYSŁAW
ORŁOWSKI

1914

Na rogu wąskiej uliczki, której wylot prowadzi do mostu na rzece Miljacka, zgromadziło się sporo ludzi. Żandarmi austriaccy z trudem utrzymywali porządek. A gdy z przeciwnego brzegu na most wjechała kolumna

samochodów, tłum zafalował. Wszystkie spojrzenia skupiły się na odkrytym samochodzie. Na tylnej ławeczce siedział w białym mundurze arcyksiążę Franciszek Ferdynand, a obok jego małżonka. Wypadki potoczyły się z za-

wrotną szybkością. Gdy auto przebyło most, młody człowiek w sukiennej krynice bośniackiej na głowie wydobyl z zanadru rewolwer i oddał do następcy tronu i arcyksiężnej dwa strzały z odległości paru metrów. Fer-

dynand, trafiony w szyję, padł martwy na poduszki samochodu, żona jego została śmiertelnie ranna.

Przez moment trwało osłupienie, po czym oficerowie ze świty arcyksiężnej, tajniacy i żandarmi rzucili się

na sprawcę zamachu. Ujęty zeznał, że nazywa się Gavrilo Princip, jest studentem i członkiem organizacji wolno-

Dalszy ciąg
na str. 2



Pracownicy Poczty Polskiej skazani na śmierć przez gen. Eberhardta



Usunięcie szlabanu na granicy polskiej



Gen. major Eberhardt, komendant jednostek gdańskich, oprawca Polaków



TAJEMNICA
STAREJ
DREWUTNI

Na str. 7

INTERPOL
DZIAŁA

Na str. 8

odgłosy

TYGODNIK
ŁÓDZKI

NR 36 (180)
CENA 1 ZŁ

Rok II. ŁÓDŹ
6 września 1959 r.

ANDRZEJ JAROSŁAWSKI

WODA

To nie
dotyczy
treści

Moi łódzcy przyjaciele namawiali mnie, bym napisał o... wodzie. A więc nie jak dotychczas „wodę”, ale o łódzkim problemie nr 1 — wodzie. Długo się broniłem, argumentując, że temat jest chyba ogromny — wszyscy wiedzą, że wody w Łodzi brak, przekonywano mnie jednak, że jako warszawiak mam świeższe spojrzenie...

A później przyszły te cholernie upały, i gdy pot spływał mi po grzbiecie pomyślałem sobie, że jeśli już w ogóle pisać (a pisać trzeba, bo żona, dziatki etc.), to chyba tylko o wodzie i to nie o tej nagrzaną słońcem w rzekach i jeziorach, a o czystej, zimnej wodociągowej, takiej na prysznic. Z tym jednak, tzn. z prysznicem w Łodzi jest kłopot.

Gdy niedawno byłem u krewnych w Łodzi, chciałem wziąć kąpiel. Wyjaśniono mi, że to niemożliwe, bo trzeba oszczędzać wodę. Przyzwyczajony, że co jak co, ale wody nie trzeba oszczędzać — byłem zdziwiony. Ale tu dochodzimy właśnie do owego „świeżego” spojrzenia warszawiaka.

To rzeczywiście tak jest, że we własnym mieście, gdzie oko od lat jest przyzwyczajone do najbardziej



kuriozalnych widoków, nie widzi się nic nadzwyczajnego. Dla mojej ciotki, w takim oszczędzaniu wody nie było nic nadzwyczajnego — o normalna rzecz. Bywało zresztą przecież gorzej. Jeszcze nie tak dawno musiała dwa razy dziennie z kubelkiem w rękę stać w kolejce przed ulicznym źródłem...

Ze mną było jednak inaczej... Przyzwyczajony do tego, że odkręcam kran u siebie w domu i już woda

lec — rejestrowałem to co było dla mnie egzotyczne, nie spotykane w żadnym innym mieście w Polsce.

Łódzkie kurioza

Oto obrazek Chojen, bardzo, bardzo rodzajowy.

Jest sobota wieczór. Na ulicy stoi tłum kobiet, mężczyzn, dzieci, ustawionych w kolejki. Każdy zaopatrzony jest w kilka wiader, gar-



...Przekazane przeze mnie do Londynu informacje miały duży wpływ na losy wojny.

Nici naszej sieci sięgały głęboko, bo do samego Oberkommando der Wehrmacht i Oberkommando der Luftwaffe...

W V KOLUMNIE DZIŚ
PAMIĘTNIK SZPIEGA

ków, kotły itp. sprzęty gospodarstwa domowego. Ludzie ci czekają na beczkowóz, samochód-cysternę, taką jaką na całym świecie przewozi się benzynę, mleko — wszystko tylko nie wodę. Ludzie się niecierpliwią, bo beczkowóz ciągle nie ma, a zrezygnować nie można. Jutro jest niedziela, trzeba więc wziąć wody na zapas, bo w niedzielę nie dowożą...

Wreszcie radosny okrzyk: Jedzie!

Za wodę ludzie płacą — 3 gr za wiaderko, co wobec kosztów produkcji wody w Łodzi i transportu stanowi raczej symboliczną opłatę.

W Łodzi jest 200 takich punktów dowożenia wody. Przez 16 godzin na dobę 4 cysterny wożą wodę, a w każdej mieści się 6.000 litrów wody!

W lepszej nieco sytuacji znajdują się ludzie, mieszkający obok ulicznych źródeł. W mieszkaniu nie ma wody, ale jest chociaż na ulicy. Kilka razy dziennie, o określonej porze, przychodzi „pan z wodociągów” i odkręca kran.

W Łodzi 75 proc. ludności korzysta w ogóle z wody wodociągowej. Wśród nich 10 do 12 proc. czerpią wodę właśnie ze źródeł i beczkowozów. Beczkowozy jeżdżą na Chojny (za kolejną), na Widzew, do Rudy...

Najbardziej klnie Widzew... W tej dzielnicy znajdują się

Dalszy
ciąg na str.
5

No, więc mamy już za sobą wielkie emocje związane z rozpoczęciem nowego roku szkolnego. Tatusie i mamusie westchnęły sobie — bożesz ty mój, jak ten czas leci — i wyposażyły pociechy przekraczające próg szkoły w najsukcesyjniejszą wskazówkę na przyszłość: ucz się Jasiu tak jak tatuś. Najskuteczniejsza, rzecz prosta, z punktu widzenia rodziców, którzy słyszeli ją od dziadków, dziadkowie od pradzi-



dków i tak aż do pierwszego alfabetu w dziejach rodziny. W praktyce bowiem wyniki nauczania w Łodzi i w całym kraju przedstawiają się kiepsko.

Kto winien? Bożia winna, gdyż to właśnie ona sprawia, że w parzyste dziesiątki lat rodzą się dzieci zdolne, a w nieparzyste — dardaneleńskie osiołki — powiadają fideiści. My zaś, rutynowani marksiści, większy mamy kłopot z odpowiedzią na to pytanie. Wbrew pozorom brakują trochę argumentów wyjaśniających.

Szkola jest nieciekawa, szkoła jest dętna. Biedny nauczyciel zwykły temat, jakim jest np. woda, musi rozpoczynać koniecznie w ten sposób: woda w organizmie żywym niedoceniana celowo za czasów sanacji, dopiero dziś doczekała się pełnego zrozumienia, moje dzieci. Biedne dziecko, z najwyższym trudem doszuka się Polaków w tłumie wielojęzycznego rycerstwa z całej Europy, które zjechało pod Grunwald, aby się brać za czuby, z najwyższym trudem zrozumie Jagiełłę broniącego naszych praw do ziem przastarych, a już z pewnością nie pojmie kogo z kogo wyścisła wartość dodatkową w układzie wczesnokapitalistycznym.

Żaden to dziś argument. Od kilku lat zmienia się atmosfera w naszej szkole, tok nauczania dawno został odczarowany z magii schematyzmu, co oczywiście nie oznacza, iż nie może się trafić w szkole kostyczny, zrutyinizowany belfer. I podreżnik się ciekawsz. Może tylko na zbyt obszerne, człowiek mimo woli zadaje sobie pytanie jak to wszystko pomieścić się w głowie dziesięciolatka?

Szkola jest przełoczona, klasy upchane kolanami. Na jednego nauczyciela wypada kilkadziesiąt psich figlów co godzinę, kilka trudnych problemów wychowawczych i ze dwie tony niesamowitego wrzasku na każdej przerwie.

Owszem, to jest jakiś argument usprawiedliwiający niskie wyniki nauczania. Ale argument częściowy i przemijający. Znamy przecież szkoły przełoczone z piątkowiczami i nowoczesne, wygodne, w których ryczą osły. Budujemy wreszcie szkoły, tysiąc szkół, klasy rozrzedzają się powoli, szkolny tłok przejdzie z czasem do historii.

Na dobrą sprawę można powiedzieć, że bieżący rok szkolny zaczyna się pod urzędowym wieloletnim państwowej i społecznej, dzięki której rosną nowe i

piękne gmachy szkolne. Kontynuujemy dzieło Komisji Edukacji Narodowej — można przeczytać w niej — dnej gazecie. Niezwykle kontynuujemy. Miliony złotych, ton szkła, cegieł, cementu, stali, kamienia, drzewa, gąszcz śmiały rozważań, architektonicznych, godne najwyższego uznania, nie stanowią jeszcze o koncepcji wychowania, a to była właśnie sprawa główna dla Komisji. Jeżeli nawet wszystkich, kogo się tylko da, posadzimy w szkolnej ławie, to przez ten radosny fakt nie stworzymy jeszcze systemu wychowania. Nie zastąpi go sam budynek szkolny.

System wychowania! W pierwszej chwili zdjęta mnie wielka chęć, aby poruszyć jakiś wielki, niebotyczny problem. No, powiedzmy — załamuje się wyraźnie proporcja pomiędzy wychowaniem technicznym i humanistycznym. Jedno oddala się od drugiego, a pośrodku dziura, w którą wpada zdezeriowana młodzież. Ta dziura — to życie. W szkołach zawodowych lekceważy się na ogół oddziaływanie na sferę emocji ucznia, nieścisłego, zdehumanizowanego. Z taśmy produkcyjnej spływają roboty. Znajdą się na śrubkach, motorach, na traktorach jeżdżących, a życie duchowe na poziomie okresu wczesnourajskiego. A ten ze szkoły humanistycznej już nie ciał, lecz samo życie duchowe. Taśmę opuszcza narcyz, który żył w świecie tytanów ducha, świetlaną postacią, spadkobiercą abstrakcji, narcyz, który połączył esencję światła. A tu w Łodzi ulice jeszcze brudne, domy jeszcze obrapane, jak taki narcyz będzie chodził po ziemi?

Potężny problem, co? Tylko że nie dla skromnego publicysty. W laboratoriach naszej pedagogiki pracują

Bardzo mi się podobały słowa naszego kuratora: „Szkoly podstawowe stwierdzają, że uczniowie opuszczają szkołę podstawową, nie mają wyrobionych nawyków w zakresie kultury życia codziennego, umiejętności obcowania z ludźmi oraz że nie zdobyli mocnych podstaw moralnych i społecznych”.

Co to znaczy? Chyba to, że niepowodzenie wychowania naszej szkoły nie zaczyna się w okresie, kiedy chłopakowi sypie się wasa a głos przypomina pianin zachrypniętego koguta i niewiedzy gdy dziewczyna odczuwa trudne do określenia niepokój, lecz w pierwszej klasie, tam, gdzie siedmiolatek nos ociera rękawem i nigdy nie może zdążyć do ubikacji z braku czasu. Nie tak dawno temu zaproponował Minister Oświaty, aby uczyć nasze dzieci używania chusteczki do wycierania nosa. Myślę, że to są święte słowa, jeżeli traktować je jako wyraz określonej i bardzo praktycznej metody wychowania.

Proszę mi wybaczyć konieczną w takich wypadkach przesadę, ale nasz młody kandydat na socjalistę, od razu grzebie w pepku świata. Wie, że pan Adenauer jest be, imperialiści też be, bo robią wojny, a MHD cacy, bo jest nasz kochany ludowy handel, a nie wie, że spłuwaczka służy do spłuwania, że pracę trzeba szynować, starszym ustępować w tramwaju, nos wycierać chusteczką, ręce myć kilka razy dziennie, nie strzelać do wróbli z procy, szymb nie wybiłają, nie kład... Tych właśnie i tysięcy innych rzeczy nie zna, a one właśnie składają się na pierwszą, ale elementarną postawę moralną i społeczną wobec życia. Nie można mówić o społeczeństwie bez określonych norm, rygorów i konwencji. Na cóż przydaje się wiedza, przeżyta lub wykuta, jeśli istnieje poza zwykłymi, codziennymi prawami życia?

A przecież, chciałbym to powiedzieć na progu nowego roku szkolnego, często stawiamy się wyłącznie na wiedzę, na stopnie, procenty, włączamy olej do główek aż się przelewa, zaniebując wdrażanie naszych milusińskich do życia w społeczeństwie.

Czego się mały Jaś nie nauczy, tego duży Jan umiał nie będzie. Warto o tym pamiętać. Już wreszcie, już srebrny głos szkolnego dzwonka skrzyknął do szkół miliony młodych.

Nasza szkołka

W Pabianicach pewna młoda panna rozebrała się w kawiarni do naga, chociaż to nieprawda. Pan Brysz od nas, z „Odgłosów” pojechał natychmiast do Pabianic oznajmiając, że jest to w sferze obyczajów polskiej wydarzenie wielkiej miary.

Po dogłębnych studiach zagadnienia, czy panna Elżbieta z Pabianic rozebrała się publicznie, w kawiarni i na stołku czy też się nie rozebrała, pan Brysz stwierdził ponad wszelką wątpliwość, że rzeczona panna się nie rozebrała.

Wiadomość, że panna rozebrała się w kawiarni do naga warta jest druku szczególnie w tygodniku takim jak „Odgłosy”, którego ambicją było, jest i będzie odkrywanie wszystkiego bez osłonek — a za to na zdjeciach. Toteż relacja o tym, jak panna Elżbieta rozebrała się do naga w kawiarni, warta była druku i pióra drogiego kolegi Brysza.

Rzecz ma się wprost przeciwnie z panną, która się nie rozebrała. Najgorsza nawet rewolucyjka, nie zaś tygodnik tak szacowny jak „Odgłosy” nie zamieszczałby wiadomości, ani tym bardziej szerszej relacji o tym, że w mieście Pabianicach jedna panna nie rozebrała się w kawiarni „Mokka”.

Świadom powyższego pan Brysz przyjął owej wiadomości metodą z dawną i bez bólu praktykowaną, tak zwany problemowy ogon i napisał, jak to koltuństwo pabianickie puściło wredną plotkę o pełnej cnoty dziewczynie, że ona jest ładna a uwyśy brzydkie kottuny. Rzecz się nazywała „Zemsta prowincji”.

Tygodnik „Życie Pabianic”, niosący na tarczy dewizę „wszystko dla wszystkich”, znalazł na czołowie miejsce dla pana Wlazłowicza, który postanowił udzielić wymyślań panu koledze Bryszowi.

Pomysł w zasadzie był doskonały, bo nie tak nie stawia na nogi numeru jak polemika i nie może stanowić lepszego jej tematu jak dziewczyna, która rozebrała się w kawiarni, nawet gdy to nieprawda.

Nasz p. Brysz i pabianicki p. Wlazłowicz są w zasadzie ze sobą zgodni w kwestii najważniejszej: panna się nie rozebrała. Dzieli ich wszakże inna kwestia: przynajmniej p. Brysz powiada, że p. Elżbieta jest prześliznięta, pan Wlazłowicz, że taka sobie.

U finału swojego elaboratu pan Wlazłowicz obraża się na pana Brysza i tu jest pogrzebany, jeśli nie pies, to w każdym razie szczeniak. Pan Wlazłowicz obraża się mianowicie o to, iż Brysz powiada, że miasto Pabianice, jego ludność i opinia publiczna rzuciły potwarz na pełną cnotę pannę Elżbietę, a to przecież nie Pabianice i ich lud, ale grupa walców.

I oto, o ile panabryszowe wnioski o prowincjonalności i kottunów Pabianic na przykładzie panny, która się nie rozebrała, było nieco dęte, co zresztą przyjęte jest,

BUDOWAĆ W POLSCE PARYŻ?

przyjemne i zrozumiałe, o tyle w obliczu ansów pana Wlazłowicza problem prowincji i kompleks prowincji: wylazł dosyć okazale.

Bowiem cechą prowincjonalizmu jest nie tyle to, iż bierze się ustranną dziewczynę i imputuje jej, że jest rozebrana, ile obrażanie się o stwierdzenia w rodzaju: „Pabianiczanie, to”, „ludność Pabianic tamto”. Jest cechą charakterystyczną, że jeśli mówimy, że kobiety kłamią tak w ogóle, w sensie kobiety wszechświatowej, nikt się o to nie obraża.

Jeśli powiemy, że paryżanki się puszczają, paryżanki również nie czują się obrażone. I to nie dlatego, iżby nie uznawały pomówienia o puszczanie się za obrazę (tak mądrych kobiet nie ma nawet w Paryżu). Po prostu nie przyjmują pojęć ogólnych do siebie. Pojmują umowność terminu „paryżanka”.

Jeśli napiszemy, że warszawiacy kradną — o, to możemy już spotkać — replikę w prasie i niechętny grymas warszawiaka przechodnia.

Gdy ktoś napisze, że boddzianie piją — wtedy redaktor każe Belfrowi napisać felleton, że nie wszyscy i że ostatnio widziano na Tuwima takiego jednego co nie.

Ala niech kto napisze o pabianiczanie, że plotkują, wówczas miejscowy głos opinii publicznej podrykuje p. Wlazłowiczowi dwie kolymy repliki rozpoczynającej się na czołowie.

Trudno i darmo, panie Wlazłowicz — rzecz martwa, mury, w których mieszka, uważa w sposób bezpośredni na naszym odczuciu względnym pojęć uogólniających. Niby to dziwne, bo psychiczna predyspozycja jest rzeczą niuansową i w ogóle tu mury, rzecz martwa, a tu maszyna mózgowa homo takiego sapiens — gdzie Rzym a gdzie Krym — ale prawda jest prawdą, naga absolutnie w odróżnieniu od panny Elżbiety.

Ow problem niedostrzegania umowności pewnych stwierdzeń bardzo jest ważny, przynajmniej dla nas dziennikarskich belfrów. Bo do licha! Były czasy, kiedy nie można było powiedzieć, że w PGR Brdęk kradną, bo jeszcze ludzie mogliby sobie pomyśleć, że w ogóle w PGR-ach kradną. A teraz nie można pisać tak w ogóle, że w PGR-ach kradną, bo w PGR Brdęk obrażają się przyjmując to do siebie. I co robić? I jak namówić wszystkich, aby uważali się za obywateli wszechświatowych? I jak tu stworzyć nawyk względnego i nie tak subiektywnego pojmowania uogólniających stwierdzeń? Jak tu stworzyć tę dumę obywatelską, egzemplarza polegającą na tym, że jak wyczyta taki, że człowiek pochodzi od matpy, od razu sobie pomyśli: „człowiek tak, ale nie ja” i nawet uzna to za tak oczywiste, że nie napisze w tej sprawie listu do gazety?

Co uczynić, aby stwierdzenie w takiej np. „Polityce”, że adwokat zarabiał krocie, nie uaktywniło natychmiast tłumy takich, którzy krzyczą: „my nie zarabiamy kroci”? I tak dalej. A więc co robić? Nie wiem. Chyba budować w Polsce kosmos lub Paryż. Bo to niby nie ma nic wspólnego, a jednak ma.

A propos sprawy kosmicznej. Pan Wlazłowicz pisze, żeby dziennikarze przyjeżdżali do Pabianic, bo tam na deptaku jest mnóstwo precudownych babek i dlatego również cytuję: „...aby nam pomóc, aby uczynić nasze życie szczęśliwszym i pełniejszym”.

Chętnie pojadę uczynić życie p. Wlazłowicza szczęśliwszym i pełniejszym, chociaż nie wiem zbyt dobrze, od której strony się do tego zabrać.

Ala, panie Wlazłowicz, co by było, gdyby wiede pańskiej konwencji myślowej uznał, że muszę przyjechać i wszystkim pabianiczanie zrobić życie szczęśliwsze i pełniejsze? Stetryczali Belfer nawet babek z deptaka nie zdołałby obrócić, nie mówiąc już o redakcji „Życia Pabianic”, na którą znalazłaby się też ochota.

BELFER

1914

SARAJEWO - GDAŃSK

1939



Sarajevo — most Principa

Dalszy ciąg ze str. 1

ściowej „Młoda Bośnia”. Arcyksięcia zabił jako jednego z najzagrożniejszych przeciwników zjednoczenia Bośni i Hercegowiny z wyzwoleńską w 1878 roku spod panowania tureckiego Serbią.

Działo się to 28 czerwca 1914 roku. Również w czterdziści pięć lat potem, w czerwcu bieżącego roku, znalazł się w Sarajewie, na miejscu zabójstwa arcyksięcia Ferdynanda.

Most, przez który przejeżdżał austriacki następca tronu na chwilę przed śmiercią, nosi imię Principa. Na chodniku przy narożnym domu wyżłobione są w kamieniu

dwie ślady męskich butów. W tym właśnie miejscu stał bohaterki zamachowca. Mówi o tym zresztą tablica, wmurowana w ścianę domu, gdzie otwarto muzeum pamiątek po Gavrile Principie.

Dla Jugosłowian Princip jest symbolem walki o wolność i zjednoczenie kraju. Stąd pamięć po nim kulturowe się z takim pietyzmem. Dla mnie jednak, przybywa z dalekiego kraju, wspomnienie wypadków z 28 czerwca 1914 roku miało znaczenie zupełnie inne. To tu właśnie przed czterdziestu pięciu laty zadecydowały się losy całej Europy i znacznej części pozostałego świata. Dwóm wystrzałom w Sarajewie odpowiedziały salwy armatnie na wszystkich frontach I Wojny Światowej.

Wprowadzie student Gavrila

to Princip, wydobywając rewolwer i kierując go w pierś wroga swojego narodu, nie zdawał sobie sprawy z historycznych konsekwencji tego czynu, wprawdzie tylko przypadek zrzucił, że właśnie zamach sarajewski stał się pretekstem do światowej rzezi, w której straciło życie dziesięć milionów ludzi, a co najmniej dwa razy tyle odniosło rany, a jednak fakt, że

buch gdzieś musiał jednak nastąpić i nastąpił właśnie tu. Wkrótce po zamachu Principa monitory austriackie otworzyły z Dunaju ogień artyleryjski na Belgrad. Wkrótce po odrzuceniu żądań Hitlera oddziały generał-majora Eberhardta zaatakowały pod osłoną dział okrętowych koszar polskie na półwyspie Westerplatte, bronione potem w ciągu siedmiu dni przez



Zabójstwo w Sarajewie
Rys. Feliksa Schwormstaedta na podstawie szkicu dokonanego przez nocnego świadka

to właśnie tu, w wąskiej uliczce Sarajewa zaczęło się, ścisła gardło.

„Przy Wisłoujściu czuwała straż. Stan załogi po jej wzmocnieniu wynosił 5 oficerów, 175 szeregowych, 22 funkcjonariuszy cywilnych.

Piękny wieczór dnia 31 sierpnia nie różnił się niczym od poprzednich. Patrole i ronty krążące w ciągu nocy w terenie nie zameldowały nic prócz tego, że kanał portu jest wyjątkowo pusty, a w całym porcie panuje jakaś niesamowita cisza. Mimo to nikt nie przeczuwał takiej pogody, jaka nastąpiła następnego dnia 1 września 1939 roku o godzinie 4.40.

W tej bowiem chwili zabrzęczały szyby w koszarach od ognia ciężkich dział pancernika „Schleswig-Holstein”, który znajdował się w kanale portowym w odległości około 800 metrów od nas. Alarum dąbał się już przy granicy naszych maszyn, że stanowiska polowych i wartowni.

Za chwilę meldunek od dowódcy odcinka wschodniego wyjaśnił sytuację. Nieprzejściel wysadził w powietrze bramę kolejową i mur obok niej i przez tę wyrwę wdarł się na nasz teren. Zaskoczony ogniem broni maszynowej, której obecności w tym miejscu widocznie się nie spodziewał, począł się wycofywać na swoje stanowiska wyjściowe, ponosząc przy tym znaczne straty w zabitych i rannych.

Tak mniej więcej zaczęło się Westerplatte**).

W parę tygodni po pobycie w Sarajewie odwiedziłem Gdańsk. Byłem przy budynku Poczty Polskiej, spacerowałem po Westerplatte. I wtedy, właśnie wtedy stanęła mi znowu przed oczyma mała uliczka nad Miljacką i ślady butów Principa utrwalone w kamieniu chodnika...

Sarajewo i Gdańsk! Istnieje coś pokrewnego między tymi dwoma miastami. Latem 1914 roku na ustach wszystkich było Sarajewo. Wielu ludzi na ziemskim globie dopiero po zamachu dowiedziało się o istnieniu Sarajewa. W dwadzieścia pięć lat później, 1 września 1939 roku, pierwsze wystrzały nowej wojny padły w Gdańsku i nazwa „Gdańsk” lub „Danzig” ukazała się w nagłówkach wszystkich dzienników na całym świecie.

Zarówno spór o Bośnię, jak i roszczenia niemieckie do terenu Wolnego Miasta Gdańska, nie znajdowały się w żadnym stosunku do formatu światowych konfliktów. Wy-

bohaterską załogę pod dowództwem majora Sucharskiego.

A zatem dwa miasta — w Jugosławii i w Polsce — przypominają dwie bolesne dla ludzkości rocznice.

Porównanie historycznych wydarzeń w Sarajewie i Gdańsku nasuwa inne jeszcze refleksje. Zamach rewolwerowy Principa, abstrahując od niewątpliwej słuszności sprawy, której służył, był w jakimś sensie typowy dla tamtych czasów. Terror indywidualny, anarchistyczne atenty, stanowiły wtedy swoistą formę wyrównywania politycznych rachunków. II Wojna Światowa nie uznawała już tak „detalicznych” metod.

Wystarczy wsiąść w samochód, by w pół godziny przenieść się z Westerplatte w inne miejsce, będące także jednym z symboli ostatniej wojny. Sturthoff! Dzisiaj Szatowo. Czworobok drutów kolczastych, drewniane strażnice, rzędy baraków i ruiny krematorium. To pozostałości jednego z obozów koncentracyjnych, w których cyklon i piec produkowały śmierć na skalę przemysłową. Wobec tak rozwinętych metod mordowania bledną okropności pierwszej wojny.

No, dobrze. Ale w takim razie dokąd zmierzamy? Do nowych, jeszcze doskonalszych sposobów zabijania? Ich — zapowiedzia, przedsmakiem, były wybuchy atomowe w Hiroszimie i Nagasaki. Można z całą pewnością stwierdzić, że z nowej zawieruchy ludzkość nie wykupiłaby się nawet pięćdziesięcioma milionami zabitych. Czy więc ponury postępek geometryczny w statystyce ofiar świat zamierza dalej kontynuować?

Sarajewo w 1914 roku było małą miejsciną, w 1953 liczyło 139 tysięcy mieszkańców, w cztery lata później — 166 tysięcy, a dziś już zapewne znacznie więcej. Rozbudowuje się miejscowy przemysł, rosną nowe osiedla mieszkalne. Podobnie rozprzestrzenia się zwycięsko nowe życie w Gdańsku. Na gruzach powojennych powstaje nowoczesne, europejskie miasto.

Nazwy „Sarajewo” i „Gdańsk” nabierają nowego sensu. Stają się symbolami życia, tak jak przedtem były symbolami masowej śmierci. Oby zwycięstwo życia było ostateczne!

WŁADYSŁAW ORLOWSKI

*) Z relacji mjr. Sucharskiego, zamieszczonej w gazecie obywatelskiej „Gdańsk” z 1953 r.

Najmniejsze gwiazdy

MARIAN
ZDROJEWSKI

Zdjęcia:
MIECZYSLAW
BIELOUS

Rynek, ot, zwykły rynek okolony charakterystycznymi akcesoriami, a więc kolorowymi kamieniczkami, kościółkiem z podcieniem, a jednocześnie jakiś inny. Gdzieś obok fotograf rozwił już „fio” z samolotem do zdjęć. Wokół rynku kręci się odświętnie ubrany tłum gapiów. Spośród pastelowych ubiorów wyróżniają się dwie przezabawne sylwetki Michałów w jaskrawych strojach. A tuż obok stary wędrowny bazar wygrywa na katarzynce płaczliwą balladę o nieszczęśliwej burmistrzance, uwięzionej gdzieś za siedmioma górami i za siedmioma rzekami, pilnowanej przez straszliwego smoka.

Korzystając z nieuwagi fotografa, zmęczone Michały (jeden duży, drugi mały) usadawiają się wygodnie w samolocie i kołysani melodią ballady, odpływają w świat, na poszukiwanie burmistrzanki...

Poczuł dowcipnie o romantycznym spojrzeniu...

Chociaż z tym spojrzeniem różnie bywa. Wystarczy, że uroczą panią w białym fartuchu wsadzi (o zgrozo!) szpileczkę w... oko (tak! tak!) któregoś z Michałów, przekreśli do dołu i już z takim spojrzeniem można spokojnie oczekiwać wyniku walki ze smokiem. O, jeszcze jeden ruch szpileczki i Michały wzrokiem pełnym zachwytu witają uwolnioną burmistrzankę.

Cuda i cudenka dzieją się tam, bracia mili: stoły boksują się, kluska (zwykła okrągła kluska!) ucieka z garnka i zaczyna żyć samodzielnie, myślnie, miedzy innymi, z encyklopedyczną wiedzą wprowadza w pole kota złoślika... Tu wszystko jest możliwe. Nie wierzyć? Zadzwońcie na numer 267-4... Albo raczej nie. Nie dzwońcie. Dostateczny kłopot miał z moją osobą dyrektor Bruzdziński, umożliwiając obejrzenie tego zaszarowanego świata. Poczekajcie więc raczej, aż filmy wejdą na ekrany. Chodzi właśnie o film, o film lalkowy. Nie sądzicie jednak, że filmy lalkowe to są takie „bajdy ciotki Adelajdy” dla grzecznych dzieci. No, no, niejedynym moral z filmu lalkowego przydałby się w życiu ludzi dorosłych.

Film lalkowy — mówi reżyser pani Janina Hartwig — (ta pani w białym fartuchu) którą zastałem w Studium Filmów Lalkowych w Tuszynie — zbliżony jest najbardziej do filmu fabularnego, aktorskiego, którego tworzywem jest żywy człowiek i przestrzeń. W filmie lalkowym tak jak w fabularnym, operuje się po-



Z filmu „Tabu”

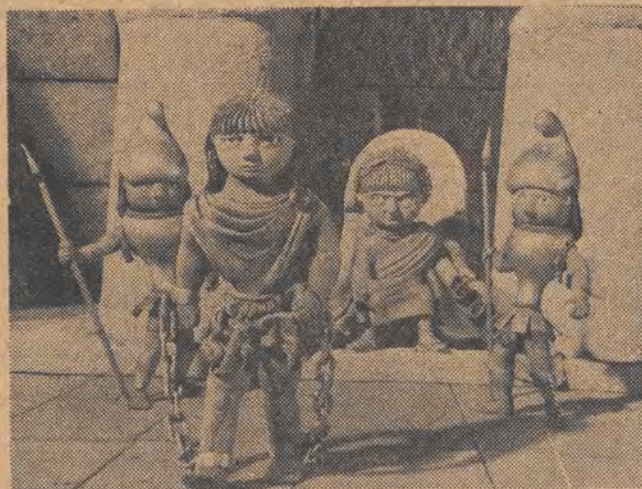
dobnym tworzywem, a więc przestrzenią i aktorem. Ale w tym miejscu, na słowie „aktor” rozchodzi się ich droga. W filmie fabularnym aktorem jest zawsze żywy człowiek, ewentualnie zwierzę, natomiast w filmie lalkowym człowieka zastępuje lalka — kukielka, zrobiona na obraz i podobieństwo żywych istot, ale jakże różniąca się od nich! Jest to przecież twór zupełnie martwy, z drutu czy metalu, wypchany watą, z głową wystruganą w drzewie lub odlaną z masy papierowej, z koralikami zamiast oczu, twór, który bez pomocy człowieka nie porusza się — jest niczym, a może być najwyżej dziecinna zabawką. Dopiero w rękach reżysera czy animatora odżywa i staje się aktorem, bohaterem filmu — bajki, opowieści fantastycznej czy groteski. A więc film lalkowy operuje takim

samym tworzywem jak i in- styka, którego projekty przechodzą do pracowni, aż wreszcie kręcenie — każdy ruch, gest z zachowaniem tempa, rytmu i ostatnia czynność — film udźwiękowia się...

Tak tutaj na nic nie przy- da się pośpiech. Każdy ruch musi być przemyślany przez reżysera, który „myśli” za lalkę i kieruje nią.

Właśnie w drugiej hali ekipa realizatorska robi ujęcia filmowe „mysich figli”

Dalszy
ciąg
na str. 11



Scena z filmu „Dama”



Scena z filmu „Dwa Michały”



KRÓTKA HISTORIA SZPIEGOSTWA

W IV wieku przed naszą erą chiński teoretyk wojny, Sun Tzu pisał w swej „Sztuce Wojennej”: „...uprzednia znajomość rzeczy jest tym czynnikiem, który umożliwia władcy i dobremu dowódcy uderzać, zwyciężać i zdobywać lupy”...

Biblia podaje, że Mojżesz wysłał ludzi „aby przeszkuli ziemię Kanaan”. To byli agenci wywiadu.

W czasie mongolskiej inwazji na Europę wódz Subotaj, uczeń Dżengis-chana, korzystał z dobrze zorganizowanego systemu wywiado-

wczego. Różne prace naukowe stwierdzają, że o ile Europa nie wiedziała o Mongolii, to ta ostatnia była doskonale zorientowana w europejskich stosunkach, nie wyłączając powiązań między rodzinami poszczególnych władców.

Kupecy fenicy — to przykład świetnie zorganizowanego wywiadu ekonomicznego. Źródła historyczne podają, że gdzie był załadowany cieżki ładunek, tam już był kupiec fenicki.

Królowa angielska Elżbieta (XVI w.), w pełni doceniała znaczenie wywiadu. Sekretarz stanu sir Walsingham rozwinął system elżbietański, poświęcając na ten cel sporą część nie tylko państwowej, ale i swojej fortuny. Od tej pory wywiad angielski zaliczany jest do najlepszych w świecie. Mówiono, że tam, gdzie się myśli nie wciśnie, zawsze mógł się zjawić ktoś z ludzi Walsinghama.

Za twórcę wywiadu jako instytucji państwowej uważa się Fryderyka Wielkiego.

Ten system nieźle funkcjonował jeszcze w XIX wieku. Według jego wzoru inne państwa rozbudowały swoje systemy wywiadowcze.

Z biegiem lat wywiad stawał się coraz bardziej przedsiębiorstwem naukowym, z własnymi instytucjami badawczymi, biurami studiów itp. Do pracy są wciągani naukowcy wszystkich niemal dyscyplin. Ale rzecz zasadnicza pozostaje bez zmian — bez agentów w obcym kraju nie się nie da zrobić.

JERZY DĄBOBERT

PAMIĘTNIK SZPIEGA



Historia, którą opowiem rozczaruje może tych czytelników, którzy skłonni w tych sprawach równocześnie do przesady i upraszczania, widzą w każdej brunecie szpiega a w każdej blondynie cnotliwą niewiastę.

W rzeczywistości życie szpiega często jest nudne i prozaiczne. Ambicją każdego dobrego pracownika wywiadu jest nie wpadać w oko, nie różnić się od otoczenia, wyglądać tak przeciętnie i pospolicie, jak tylko to jest możliwe. Każda niezwykła rzecz bowiem przyciąga uwagę otoczenia, co gorsza może wzbudzić podejrzenie, zaś podejrzenie — szpieg jest na najlepszej drodze do więzienia.

Żaden człowiek, karłomni tylko fikcyjnymi pojęciami na temat wywiadu, nie był-

by w stanie wykryć prawdziwego agenta wywiadu. Mogłaby przed nim śmiało przedfilować cała nasza szwajcarska sieć, a on by jej nie zaszczylił nawet spojrzaniem.

W oznaczonym dniu miałem się stawić przed Głównym Urzędem Pocztowym w Genewie w białym krakwacie ze skórzanym paskiem w prawej ręce. Z wybieciem godziny 12-ej w południe miała się do mnie zbliżyć kobieta z koszykiem na zakupy i paczką owiniętą w zielony papier. W rękę miała trzymać pomarańczę. Znak ten mogłyby się wydawać wystarczające dla skontaktowania ze sobą na ulicy Genewy 2 nieznanym sobie osobom. Dla uniknięcia jednak wszelkiej omyłki spotkanie to zostało jeszcze bardziej szczegółowo obmyślane.

Kobieta miała mnie zapytać po angielsku, gdzie kupiłem mój pasek, na co ja miałem dać odpowiedź, że w sklepie żelaznym w Paryżu, sam zaś miałem z kolei zapytać, gdzie można nabyć taką pomarańczę, na co kobieta miała odpowiedzieć, że może sprzedać mi swoją za 1 pensa.

Dialog niezbyt błyskotliwy, lecz wykluczający wszelkie nieporozumienia i dający pojęcie o pedanterii moich chlebodawców.

Opuściłem małe przytulne gniazdko szpiegowskie uwięzione przy St. John's Wood i poszedłem do domu, aby rozpocząć przygotowania do podróży, która miała nastąpić za kilka dni. Na szczęście podróżowanie nie przedstawiało jeszcze wówczas większych trudności, tak że już wkrótce potem znalazłem się na łodzi, kursującej po Kanale.

Ludzką naturę cechuje niezmienna głękość i zdolność przystosowania. Chcąc przez to powiedzieć, że nauczyłem się już po krótkim czasie traktować tajemnicze kontakty i spotkania, jako zwykłą kolej rzeczy. Skłamałbym jednak, gdybym powiedział, że zachowałem zimną krew na moim pier-

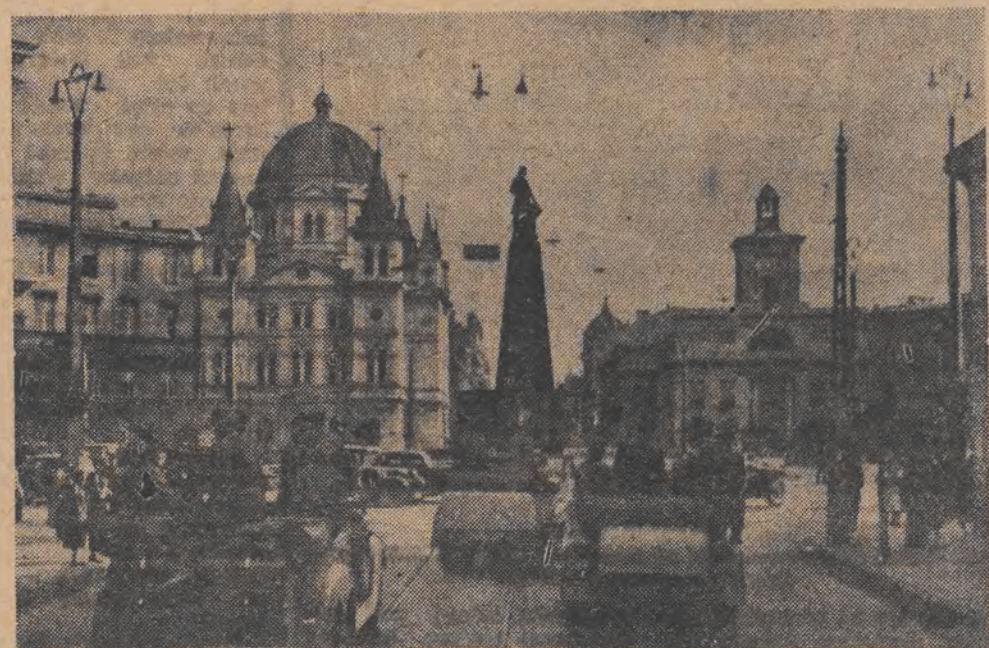
wszym spotkaniu. Sądzę, że coś podobnego musi przeżywać młoda dziewczyna przed swoim pierwszym tańcem, a mianowicie krótkie zdenerwowanie oraz niepokojące i słodkie przecucie tego co nastąpi.

Genewa nie jest miastem wąskich ciemnych uliczek, stanowiących przysłowiowe tło dla spotkania agentów. Wydaje mi się, że rendez-vous samej Wielkiej Inkwizycji z Torquenado wyglądałoby na tle Genewy raczej sielsko i niewinnie.

Wierny mojej roli turysty zatrzymałem się w Genewie w małym hoteliku w pobliżu dworca i w oznaczonym dniu ruszyłem uzbrojony w wymienione znaki rozpoznawcze na spotkanie przed gmach Głównego Poczty. Każdy, kto próbował kiedykolwiek zawrzeć znajomość na Charing Cross Station w Londynie na podstawie ogłoszenia w rubryce „Osobiste” w „The Times”, zrozumie co ja odczuwałem. Wydało mi się, że dnia tego wszystkie Hausfrauen Genewy wpadły na szczęśliwy pomysł obdarzenia swoich ukochanych piękną pomarańczą przy obiedzie, i że wszystkie papier pakunkowy w całym mieście przybrał kolor zielony. Wszystkie kobiety wyglądały jednakowo obojętnie i godne szacunku, a ja dzierżąc w prawicy mój skórzany pasek czułem się, jak ostatni osioł.

Miejscowe zegary komunikowały w końcu mojej rozgorączkowanej wyobraźni nadejście godziny 12-ej. W tym momencie spostrzegłem „ją”. Punktualność może być uprzejmością książąt, lecz jest na pewno również cechą każdego dobrego szpiega. Szczupła, o zgrabnej figurze i zgrabniejszych bodajże nogach, czarnowłosa, lat około 30-tu. Mogła być żoną niższego urzędnika konsulatu francuskiego. Koszyk jej zawierał zieloną paczkę. W rękę trzymała pomarańczę. „Przepraszam, ale gdzie pan kupił ten pasek”? Kontakt został nawiązany.

(d. c. n.)



Niemcy wkraczają do Łodzi

ADAM KUROWSKI

Walki dywizjonu myśliwców Armii „Łódź”

Armia „Łódź” od pierwszego dnia wojny znalazła się pod uderzeniem przeważających sił niemieckich. Zadanie dla Niemieckiej

ne lotnictwo. Jednak nic takiego nie nastąpiło. Naczelne Dowództwo wyraźnie nie doceniało znaczenia przewagi niemieckiej, nie tylko zresztą tutaj. Wyraźnie to stwierdził dowódca Armii „Łódź” gen. Rómmel w swoich wspomnieniach.

Podzielając optymizm Naczelnego Dowództwa również Sztab Lotniczy przy Sztacie Głównym nie docenił znaczenia Armii „Łódź”. Otrzymała ona lotnictwo takie same ilościowo jak i sąsiednie armie, a jakościowo nawet nieco słabsze, gdyż jedna eskadra dywizjonu my-

właśnie dlatego, jego ambitny personel bardzo szybko odczekał brak kilkuletniej tradycji i we wrześniu 1939 roku stanął do walki na równi z innymi dywizjonami myśliwców. Dowódcą był „stary wyga lotniczy” major pil. Stanisław Morawski. Dowódcami eskadr: 161

P-37 „Łoś” (bombowiec dalekiego zasięgu, typ 1937 r.). Szybkość 420 km/godz. Uzbrojenie 1 działko, 3 karabiny maszynowe. Ładowność 1800 kg bomb. W opinii fachowców „Łoś” uchodził za bombowiec najwyższej klasy. Ilość ok. 35 maszyn.

— kpt. pil. Szczepiński, 162 — kpt. pil. Groszewski.

Jak już wspomniałem jedna z eskadr (162) posiadała samoloty P-7. Dywizjon miał dużą, może nadmiernie dużą rezerwę pilotów, bo około 80 proc. Ścisłej mówiąc na 22 samoloty stan pilotów w dniu 1. IX wynosiło ok. 40 proc. pilotów młodych, którzy przyszli w 1939 roku ze szkół. W ciągu lata jednak zdążyli oni nabrać doświadczenia oraz doszli do wyszkolenia w strzelectwie i pilotażu.

Dywizjon zmobilizował się 24 sierpnia 1939 r. we Lwowie. Rzut kołowy został przesunięty na teren operacyjny transportem kolejowym. Rzut powierny otrzymał rozkaz

P-24 „Wilk” (dwumiejscowy myśliwiec, typ 1936 r.). Szybkość 450 km/godz. Uzbrojenie 1 działko, 5 karabinów maszynowych. Brak danych o udziale tych myśliwców w kampanii wrześniowej. Charakterystyką bojową do równywały one niemieckim „Messerschmidtom”.

śliwskiego miała samoloty P-7. Nie było w tym oczywiście żadnej chęci osłabienia tej armii. Oto po prostu „obciążenie” jej przypadało 6 pułkowi lotniczemu, który w swoim dywizjonie myśliwskim miał jedną eskadrę ze słabszym sprzętem.

III/6 dywizjon myśliwski — cała siła bojowa lotnictwa Armii „Łódź” — była „najmłodszym” ze wszystkich polskich dywizjonów myśliwskich. Mimo to, a może

P-11 myśliwiec typ 1933 r.) szybkość 320 km/godz. Uzbrojenie 2 karabiny maszynowe. Ilość ok. 300 maszyn.

uderzenia. Zdawałoby się więc, że Armia „Łódź” powinna być specjalnie wzmocniona i wyposażona w sil-



W rubryce tej będziemy systematycznie publikować najważniejsze daty i wydarzenia II Wojny Światowej. Obecnie, wychodząc z założenia, że kampania wrześniowa jest Naszym Czytelnikom stosunkowo dobrze znana, podajemy tylko 2 mapki z archiwum niemieckiego Dowództwa Wojsk Lądowych, obrazujące rozwój sytuacji w Polsce w dniach 2—6 września 1939 r.



P-43 „Karaś” (myśliwiec bombardujący, typ 1938 r.). Szybkość 380 km/godz. Uzbrojenie 4 karabiny maszynowe. Ładowność 800 kg bomb. „Karaś” posiadał lepszą charakterystykę bojową od niemieckich „Stuków”. Ilość ok. 30 maszyn.

startu z bazy dopiero w dniu 31 sierpnia rano z przeznaczeniem na lotnisko Lu-

(Ciąg dalszy na str. 4)

WODA

To nie
dotyczy
treści

Dalszy ciąg ze str. 1

bowiem ujęcia wodociągowe przede wszystkim Wim, a ludność jej jest pozbawiona wody. Co więcej, studnie są nieczynne, gdyż Wima gruntownie wysuszyła Widzew. Jeśli już mowa o studniach takich jak w Łodzi, z dużym kole, którym trzeba zakreślić — to jest to również widok nie spotykany w innych miastach wojewódzkich. Studni takich jest w Łodzi 250.

Kto ponosi winę za ten stan rzeczy? Hm, podobno Staszic...

Kowalski contra Staszic

W wydanym przed rokiem łódzkim „Informatorze Uniwersalnym” można przeczytać następujące zdanie: „Z podziwem patrzymy na planistów Królestwa Polskiego sprzed przeszło 100 lat oraz na budowniczych Łodzi ze Staszicem i Rembielińskim na czele”.

Tej pochlebnej opinii o budowniczych Łodzi: Staszicu i Rembielińskim, do tych świetnych nazwisk możemy jeszcze dorzucić Druckiego-Lubeckiego, nie wymyśliłi oczywiście autorzy „Informatora Łódzkiego”. Wybitni luminarze polskiej nauki wielokrotnie, ex cathedra ją głosili. Pamiętam, że i w szkole mnie tak uczyli...

I oto znalazł się człowiek, który zakwestionował tę opinię, ba, który można nawet powiedzieć, że zaczął szargać świętości.

Powiedział mi: „Łódź została zupełnie bez głowy zlokalizowana. To miejsce zupełnie nie nadaje się na wielkie miasto przemysłowe”.

Przeciwko plejadzie świetnych nazwisk ze Staszicem na czele, to znaczy ich koncepcji zlokalizowania Łodzi tam gdzie się dzisiaj znajduje, wystąpił człowiek o nazwisku... (Uwaga: „Przekrój”) Kowalski.

Kim jest Kowalski? To nieważne w tej chwili, będzie jeszcze zresztą o tym mowa. Teraz powiedzmy tylko, że człowiek o nazwisku Kowalski wystąpił przeciwko Staszicowi.

Czy ma rację?

Do dalszych paradoksów łódzkich należy chyba zaliczyć fakt, że „planiści Królestwa Polskiego” na zakładaną przez nich osadę sukienniczą wybrali Łódź, między innymi głównie dlatego, że była tu obfitość wody. Nad Łódką i w okolicy rzeki Jasieni osiedlają się tkacze — wody jest bowiem pod dostatkiem. Z tych czasów jakby na ironię pozostał tylko herb Łodzi. Łódzkie rzeki zamieniły się w kanały ściekowe i można w Łodzi mieszkać całymi laty i nie wiedzieć, któredy przepływają.

Łódź leży na wododziale Wisły i Odry i w zasadzie jest skazana na wody gruntowe. Tymczasem teren jest deficytowy w wodę i co więcej — czerpanie wody ze studzien skupionych na tak niewielkim obszarze powoduje ciągle i katastrofalne obniżanie się poziomu wód głębinowych.

Brak wody w Łodzi nie jest nowym problemem... Już

w 1898 roku łódzianie śpiewali sobie:

„Oj dudni w Łodzi, dudni, Masa pustych studni
Oj, wody, dajcie wody
Bo w mieście wciąż ludniej”.

Aby więc ratować honor Staszica, że wymienię tylko jego, musimy wziąć pod uwagę ówczesny poziom badań geologicznych jak i fakt, że nikomu się wówczas nie śniło, co z tej Łodzi wyrośnie, i zupełnie nikt nie przewidywał, że zostanie 600-tysięcznym miastem, drugim miastem w Polsce. Stało się jednak — powstało nad małą rzeczką Łódką wielkie miasto. Co zaniedbał Staszic... odrabia dzisiaj... kto, ależ właśnie tak... Kowalski!

Najważniejszy człowiek w Łodzi

Czy zastanawialiście się kiedyś kto jest najważniejszym człowiekiem w Łodzi?

Bo ja przekonałem się, że właśnie... Kowalski.

Powiedzmy wreszcie: Pan Kowalski jest dyrektorem Miejskiego Przedsiębiorstwa Wodociągów i Kanalizacji w Łodzi. Siedzi właśnie u niego w gabinecie i rozmawiamy. Rozmawiamy, to właściwie przesada, bo co chwila przerywa nam telefon. Siedziałem blisko, a rozmówcy dyr. Kowalskiego głośno krzyczyli, więc słyszałem:

— Dyrektorze dajcie wodę — bo fabryka stanie!

— Dyrektorze, zwiększcie przydział wody, bo planu nie możemy wykonać.

— Dyrektorze, awaria, nasza studnia wysiadła, przyłączcie do sieci...

I dyrektor Kowalski niczym Bóg wszechwładny rozdział wodę. Nie na prawo i lewo, wcale nie hojnie, a oszczędnie, bo dyrektor Kowalski cudów nie robi i z próżnego nie należy.

Dyrektor Kowalski opowiada mi o swoich kłopotach. Wody brakuje, musi więc być wydzielana. Dzienna norma na mieszkańca wynosi 100 litrów wody (jeszcze niedawno wynosiła 80 litrów), co nie jest dużo, gdyż przyjmuje się, że dopiero 250 litrów na osobę może zaspokoić wszystkie konsumpcyjno-gospodarcze i komunalne potrzeby ludności. W tej chwili wodociągi nie mogą dać jednak więcej wody.

Trudno... Nie wszyscy jednak to rozumieją. Stąd dyrektor Kowalski musi czasami gdzieś indziej wyłączać wodę, gdy zachodzi znaczne przekroczenie normy. Podobnie z przemysłem.

Łódzkie fabryki mają na ogół własne ujęcia wody, ale na skutek rabunkowej gospodarki, lustra wody w studniach coraz bardziej się obniżają. Bywają też awarie, a wtedy właśnie dzwoni się nie do kogo innego, a do dyrektora Kowalskiego. Jak nie da wody, to fabryka staje. Bo woda jest w Łodzi najcenniejszym surowcem i dlatego dyrektor Kowalski jest najważniejszym człowiekiem.

Laurka

Chcesz pisać o wodzie w Łodzi, a co potrzebna jest pewnie laurka na jakąś rzecz-

nicę — powiedział mi kolega.

Bo wbrew pozorom problem wody w Łodzi nie jest „czarnym” tematem.

Założenie sieci wodociągowej w Łodzi to chyba największe osiągnięcie 15-lecia władzy ludowej w tym mieście.

Projekt budowy wodociągu w Łodzi powstał jeszcze w 1909 roku. Autorem jego był m. in. inż. W. H. Lindley.

Dopiero jednak w 1925 roku rozpoczęto pierwsze roboty ziemne. Przed wojną wybudowano 3 artestyjskie ujęcia dla wodociągów w południowo-wschodniej części miasta, przez cały jednak czas nie założono sieci i nie doprowadzono wody do mieszkań. Kilka kilometrów sieci założył okupant dla celów obrony przeciwlotniczej, tak że w 1945 r. wodociągi łódzkie dawały 1800 m sześć. wody na dobę.

Zbudowano 210 km sieci wodociągowej, w wyniku czego 451 tys. łódzian korzysta już z wody wodociągowej. Wyparto zupełnie ze środowiska beczkowozów, zdroje i studnie, które dzisiaj można spotkać jedynie na peryferiach.

Oprócz trzech przedwojennych ujęć wodociągowych, w budowie są cztery dalsze studnie. No i oczywiście — jeśli już tak wymieniamy jednym tchem sukcesy i osiągnięcia władzy ludowej — RUROCIĄG ŁÓDZ-PILICA. Aby wyobrazić sobie znaczenie tej inwestycji dla Łodzi, wystarczy powiedzieć, że rurociąg daje 50 tys. sześć. wody. A 1 kwietnia br. ruszyła budowa drugiej nitki rurociągu — Łódź-Pilica. Woda ta jest przeznaczona przede wszystkim na potrzeby przemysłu, ale część i dla miasta pójdzie. To wszystko oczywiście nie znaczy, że bycz jest...

Kino a rzeczywistość

Niedawno w jakimś prowincjonalnym kinie oglądałem starą kronikę filmową. Już nie pamiętam czy to z okazji ukończenia pierwszej nitki czy rozpoczęcia budowy drugiej nitki rurociągu spiker triumfalnie obwiesił: Nareszcie w Łodzi będzie wody pod dostatkiem.

Niestety rzeczywistość różni się od kina. Według opracowań specjalistów od spraw zaopatrzenia w wodę bilans potrzeb przy uwzględnieniu konsumpcji ludności i przemysłu oraz na pokrycie ubytków w ośrodkach sportów wodnych w stosunku do możliwego pokrycia zapotrzebowania z lokalnych ujęć wodociągów i z Pilicy w najbliższej perspektywie nie równoważy się.

Mimo wstrzymania w Łodzi rozwoju wodochłonnych gałęzi przemysłu już w latach 1960—61 nastąpi ostry deficyt wody.

W 1962 roku zostanie on w części zlikwidowany wodą z drugiej nitki, ale znowu w latach 1967—68 nastąpi drugi deficyt wody. Oblicza się, że w sumie wystąpi brak 134.000 m sześć. wody na dobę.

Perspektywy

Jakie są więc perspektywy Łodzi, jeśli chodzi o wodę? — z tego rodzaju pytaniem zwróciłem się do mgr Jutty, wiceprzewodniczącego Miejskiej Komisji Planowania Gospodarczego.

— O, perspektywy są świetne — powiedział mi. — Właśnie dzisiaj pracowaliśmy nad urbanistycznym planem perspektywnym dla Łodzi — zarezerwowaliśmy miejsce na...port — i tu mgr Jutta zrobił do mnie tak zwane „oko”.

Rzecz bowiem w tym, że planowana na rok 1980 (oj jak to jeszcze daleko) budowa tak zwanego Kanału Centralnego, którego koncepcja została opracowana przez PAN, jest jeszcze bardzo pilną... wodzie. Kanał ten przebiegać po trasie od Wisły powyżej Włocławka, po zachodniej stronie Łodzi przez Pabianice, Częstochowę, Zawiercie, Mysłowice do GOP — doprowadzałby ogromne ilości wody na teren deficytowy, leżące wzdłuż tego szlaku. Budowa kanału musiałaby być rozpoczęta od odcinka Włocławek-Łódź i dalszy w przypadku realizacji, jedyne radykalne, raz na zawsze, rozwiązanie problemu wody w Łodzi. Nie mówię już jednak o miliardowych kosztach budowy Kanału Centralnego, łączy się to z szeregiem trudności technicznych, jak podnoszenie wody w górę biegu, przekraczanie dolin itp.

Tak, że na razie cała rzecz pozostaje w sferze marzeń. Realniejsze są natomiast inne projekty.

Specjaliści dyskutują czy dla pokrycia II planowanego deficytu wody budować trzecią nitkę rurociągu czy też doprowadzać wodę odtwartym kanałem z Sulejowa, który byłby wykorzystywany również dla potrzeb rolnictwa.

Zaden z tych projektów nie daje tak radykalnego rozwiązania jak Kanał Centralny — mają natomiast ten walor, że są... realniejsze.

Który z nich zostanie zrealizowany, a może oba — jeszcze nie wiadomo.

Tam na Chojnach, za ko-

leją, ludzie, którym na razie dowodzi się wodę beczkowozami są ciekawi jednak bliższych perspektyw. Kiedy u nich w domu będzie woda?

A więc do roku 1965 85 proc. ludności będzie u siebie w domu „odkręcać kran”, a do roku 1975 — 95 procent.

Z tymi pozostałymi 5 proc. ludności sprawa jest o tyle gorsza, że trzeba by dla nich wybudować jakieś 200—300 km sieci, a więc tyle ile wynosi obecnie sieć wodociągowa. Ludzie ci mieszkają we wsiach przyłączonych do Wielkiej Łodzi, gdzie domy znajdują się w wielkim rozrzuceniu. A koszty zakładania sieci są ogromne i na tych dalekich peryferiach lepiej się już kalkuluje studnia, chociaż też nie jest tania (80 tys. zł).

Miejskie Przedsiębiorstwo Wodociągów i Kanalizacji — jak się można łatwo domyślić, nie jest przedsiębiorstwem dochodowym. Ludność w Łodzi płaci za m sześć. wody 36 gr, a dla porównania możemy powiedzieć, że przed wojną w Warszawie (z Łodzi nie można porównywać, bo nie było wodociągów) metr sześcienny wody kosztował 50 gr. „Dochód” jaki dają beczkowoz jest wręcz śmieszny — 8 tys. zł miesięcznie, a nie zapominajmy, że dziennie po 16 godzin pracują 4 cysterny.

Jak mi oświadczył dyr. Kowalski, aby Przedsiębiorstwo nie dokładało, metr sześcienny wody powinien kosztować 5 zł.

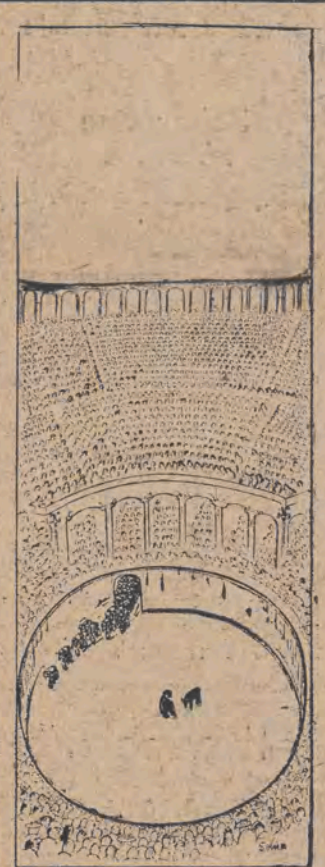
Nie bójcie się jednak, łódzianie — podwyżki na wodę nie będzie!

Oprócz tego na zakończenie, wobec tych jednak niezbyt wesołych perspektyw, jeszcze jedna rzecz na pocieszenie: Podobno jakość wody w łódzkich wodociągach jest najlepsza w całej Polsce.

Tak przynajmniej twierdzi dyr. Kowalski

ANDRZEJ
JAROSŁAWSKI

Zdjęcia: MIŁOSŁAW
PETRUSZKA



odgłosy str. 5



ADAM KUROWSKI

Walki dywizjonu myśliwców Armii „Łódź”

Dalszy ciąg
ze str. 4

blinek, pod Łodzią. Było to urządzone lotnisko LOPP, wykorzystane na razie jako lotnisko rozdzielcze. Po południu tego dnia dywizjon odlata na swoje właściwe lotnisko operacyjne koło Pabianic.

Me-109 szybkość 470 km/godz. Uzbrojenie 1 działko, 2 karabiny maszynowe.

Przy lądowaniu jeden z samolotów został uszkodzony. W ten sposób dywizjon

rozpoczyna wojnę ze stanem 21 samolotów bojowych.

W dniach 1 i 2 września Armia „Łódź” bije się z przeważającym wrogiem na pozycjach wysuniętych ku granicy.

Dywizjon myśliwski w dniu 1. IX. otrzymuje polecenie wyszukiwania terenów i zorganizowania zasadzek. Na lotnisku podstawowym dywizjon ma utrzymywać jeden 3 samolotowy klucz w alarmie. Reszta w pogotowiu.

Pierwszy rozpoczyna wojnę właśnie taki klucz alarmowy startując na przelatujące pojedyncze samoloty lub małe grupki lotnictwa niemieckiego.

Dywizjon ma połączenie z

siecią alarmową. Ma także swoją radiostację dowodzenia. Dowódca czuwa. Kilkakrotnie idą w powietrze poszczególne klucze. Pilotom udaje się dopaść nieprzyjaciela i ostrzelać go, jednak do zwycięstw tego dnia nie dochodzi. Samoloty nieprzyjaciela „dodają gazu” i uchochodzą z walki, a Polacy nie umieją jeszcze „wydusić” z silnika ostatniego tchu i „nadprzyrodzonej” prędkości.

Obie eskadry organizują zasadzki w Zduńskiej Woli, Łasku i Woli Wężykowej. Samoloty z tych wysuniętych ku frontowi posterunków również startują kilkakrotnie, ale i tu zestrzałów nie ma. Niewątpliwie jednak

Me-110. Szybkość 480 km/godz. Uzbrojenie 2 działka, 5 karabinów maszynowych. Łącznie niemieckich myśliwców ok. 1.100 maszyn.

akcja ta paraliżuje niemieckie rozpoznanie.

Dnia 2 września Luftwaffe wzmacnia działania na terenie armii, zarówno bombardując jej tyły (Łódź, Piotrków, Kozłowski) jak też wspomagając działania własnych wojsk. Niemieckie bombowce są silnie ubezpieczone przez „Messerschmidty”.

Do-17. Bombowiec bliskiego zasięgu. Szybkość 370 km/godz. Uzbrojenie 4 karabiny maszynowe. Ładowność 1600 kg bomb.

Dywizjon myśliwski, w tym dniu miał działać z zasadzek oraz patrolować. Na lotnisku podstawowym dywizjonu w dalszym ciągu czaił się klucz alarmowy.

Około godz. 10.30 dochodzi do walki.

Startują dwa klucze i dopędzają idące na dużej wysokości nad chmurami niemieckie bombowce. Na podejściach do Łodzi następuje walka, jednak jej przebieg nie jest zbyt korzystny dla dywizjonu. Po stronie niemieckiej bierze w niej udział kilkanaście bombowców, po naszej — sześć myśliwców, w tym trzy P-7.

Niestety do akcji włącza się artyleria przeciwlotnicza obrony Łodzi, co uniemożliwia niektórym pilotom dalsze prowadzenie walki. Ar-

tyleria wali „na oślep” przez kilka minut do kłębowiska niemieckich i polskich maszyn. Bombowce niemieckie

Ju-86. Bombowiec dalekiego zasięgu. Szybkość 270 km/godz. Uzbrojenie 1 działko, 3 karabiny maszynowe.

rozpraszają się i częściowo zwracają. Jeden z nich poważnie uszkodzony idzie kołowo ku ziemi, na pewno nie doleciał do bazy. Po stronie polskiej długo czekają na ostatni, szósty samolot. Nie wraca ppor. Ruszel. W czorze przywożą jego ciało. Nie udało się ustalić czy został zestrzelony przez nieprzyjaciela, czy ogniem własnej artylerii. Trzy dalsze maszyny są tak postrzelane przez pociski bombowców i odłamki granatów, że nie nadają się do dalszych lotów.

Po południu znów nieprzerwanie nadchodzą meldunki telefoniczne. Zresztą i z lotniska widać, co się dzieje w powietrzu. W pewnej chwili eskadra dziewięciu Me-109 śmiga w powietrzu w różnych kierunkach. Są bardzo wysoko na 4.000 metrów.

Młodzież dopada samolotów, chce startować do walki, choć nie było rozkazu. Ale dowódca jest opanowany. Może rzucić w tej chwili w powietrze znowu tylko 6 samolotów. Dowódca powstrzymuje samowolne starty. Czekać w samolotach na rozkaz!

Niedługo czekają. Posłuchajmy relacji por. pilota Głowczyńskiego:

„Messerschmidty buszowały po okolicy bezkarnie, ale nieszkodliwie. Wreszcie zgubiłem je z oczu.

Nagle sygnał: „zapuszczać”! Zakręciłem — kochana krówka skoczyła. Pokazują pośpieszenie — start. Startuję. W powietrzu dołączam do sztyku. Jest nas sześciu. Wciążam radio i słyszę: „Tadek, Kazik — tu Ewa. Lecieć na

Ju-87. Bombowiec nurkujący. Szybkość 290 km/godz. Uzbrojenie 3 karabiny maszynowe. Ładowność 600 kg bomb.

Pabianice. Nabierać wysokość! Z południowego zachodu duża wyprawa bombowa.

Lecimy. Każdy się skupia.



Zestrzelony „Karaś”



Stanowisko przedniego strzelca w Do-17

Sześć par rąk, sześć mózgów pracuje w napięciu. Oczy szukają po niebie. Wreszcie dopadliśmy wroga.

He-111. Bombowiec dalekiego zasięgu. Szybkość ok. 400 km/godz. Uzbrojenie 4 karabiny maszynowe. Ładowność 1800 kg bomb.

Wydaje się, jak azjatycka szarańcza. Wali chmarą, masą. Góra suną trzy klucze, za nimi jeszcze dwie luźne sztuki. Dwusilnikowe dolnopłaty. Ciężkie Junkersy. Dołem dwie trójki jakichś mniejszych. A daleko na horyzoncie jeszcze sześć sztuk. I te „Bleistifty” tu gdzieś po okolicy się kręcą.

I jedno i drugie są dużo wyżej od nas. Drapiemy się cierpliwie do góry. Chcielibyśmy dojść do tych górnych, ale i do dolnych jeszcze daleko. Pędzą naprzód. Są coraz bliżej, wielkie, szare. To Messerschmidty-110. Idą z zadartymi łbami pięćset metrów wyżej, jakby ich piloci w ogóle nas nie widzieli, jakby chcieli zignorować nas i przejść nad nami dalej.

Zapatrzeni w nich, dociskamy manetki, „busty”, gnemy knypie — byle bliżej, byle wyżej. A szybkość po-

zioma coraz mniejsza. Zlitujcie się, dranie, zniżcie się! Bijcie się z nami!

Rzeczywiście zniżają mordy i na pełnym szusie pikują na nas. Automatycznie rozluźniamy się. Jestem na prawym skrzydle. Lecę na mnie potwór, z trzech paszczy błysnęło, sześć luf rzygnęło ogniem. Oślepiło mnie, hurkot w uszach. Oddałem, położyłem. Mignął obok i daleko w dole za mną zawija skręt.

Hurra! Wszyscy jesteśmy nad nimi. Oni w dole. Bokiem wam wyjdzie ten pełny gaz. Ciągną pewnie stery dwoma rękami, ślepią wylażą na wierzch, gniecie w dołek. Kapie wam pot z pysków? Tak, znam to.

Zawinałem ciasno przez

Hs-126. Bombowiec dalekiego zasięgu. Szybkość ok. 400 km/godz. Uzbrojenie 1 działko, 3 karabiny maszynowe. Ładowność 2.000 kg bomb. Łącznie bombowców ok. 1200 maszyn.

plecy i jeszcze pół krzywego loopingu. Mam go na celowniku, na samym krzyżu...”

dokończenie
w następnym numerze

Wiersze dla dzieci

Wiersze dla dzieci

Wiersze dla dzieci

Wiersze dla dzieci

HONORATA CHRÓSCIELEWSKA

Leń i zegar

Leniuchowi czas się dłuży,
Dzień w miesiąc się zmienia.
Stary zegar się nachmurzył
I krzyczy na lenia:

— Bim-bam, bim-bam, już dziewiąta,
A leń baki zbija.
Bim-bam, bim-bam, książki w kątach!
Jaka brudna szyja!

Jak małpka na drzewa!
Jak kot wspinasz się na płoty,
W głowie lenia same psoty
A przy pracy ziewa!

Choćbyś pędził jak sto koni
Bądź miał skrzydła wrony,
Czaru, czasu nie dogonisz,
Leniu zatracony!



Jeżyki

Pod kasztanem mały jeżyk,
Smacznie chrapiąc w trawie leży.
Wtem pod brzusek mu się wtula
Dziwna, pełna kolców kula.

Jeż zdumiony uniósł ryjek.
— Istne cuda! Toć jak żyję,
Nie wiedziałem, mówię szczerze —
Że są i zielone jeże.

Teczka

Jaka ciężka teczka Zosi! —
Czego Zosia w niej nie nosi?
Siedem skorup porcelany,
Potłuczony wazon szklany,
Trzonki połamanych kluczy,
Kotka z gumy, który mruczy,
Półcalowe ostre gwoździe,
Po prababce żółty moździerz,

Ze sweterka sprutą wełnę,
Pudeleczo szpilek pełne,
Białą wstążkę, nici szpulkę,
Sprzed tygodnia z szynką bułkę,
Od budzika dzwonek stary
I słoneczne okulary...
Zaś na samym spodzie teczki
Przytulone drżą książeczki —
Rozczochrane, grzbiet obdarty,
Pozwijane w trąbki karty...

Kołysanka

Za uchylonym oknem
Deszcz bardzo pięknie śpiewa...
Na dachu gonty mokną,
A w sadzie — wszak wiesz — drzewa.

Słonecznik spuścił głowę —
W dzień tego słońce gonii —
I w trawy teraz płowe
Zaszył się polny konik.

Pod stryszkim Mruczek chrapie,
Na stryszku drzemią myszy...
Deszcz śpiewa na okapie,
A tylko noc go słyszy.

ŁÓDZKIE „PSTRĄGI” W TULUZIE



STUDENCKI TEATR SATYRY „PSTRĄG” WYJEŻDZA DO TULUZY NA FESTIWAL ZESPOŁÓW STUDENCKICH. NA FRANCUSKIEJ ZIEMI ŁÓDZKIE „PSTRĄGI” BĘDĄ ŚPIEWAĆ WŁASNE PIOSENKI Z PROGRAMU „ŚWIAT JEST ZIELONY” I POKAZĄ KILKA LIRYCZNYCH I KILKA SATYRYCZNYCH PANTOMIM. KOSTIUMY I DEKORACJE JUŻ POJECHALY, A „PSTRĄGI” SIEDZIAŁY NA WALIZKACH. MOŻE W TEJ CHWILI JUŻ PĘDZA MIĘDZYNARODOWYM EXPRESSEM — VIA BERLIN—HANOVER?...



Fot. W. Machajko



P przed Sądem Wojewódzkim w Krakowie toczy się fascynujący proces poszlakowy. Na ławie oskarżonych zasiadł ksiądz proboszcz Jan Lech, oskarżony o zabójstwo swej kochanki i matki swego dziecka, Anny Kurek, zwanej „Kudłata Helka”. Prokurator Henryk Pracki w akcie oskarżenia, omawiając obszerne obrazy i charakter przestępstwa, operuje właściwie tylko hipotezą, która jednak na tyle jest mocna, że ks. Jan Lech postawiony został w stan oskarżenia. Pierwotkowe śledztwo nie zdołało zebrać materialnych dowodów winy ks. Lecha, poszlaki jednak są tego rodzaju, że mogą w czasie procesu dowieść winę ks. Lecha i zdemaskować go jako zbrodniarza.

Przestępstwa dokonano przed 8 laty. Przypadek zrzucił, że zbrodnia została odkryta. Gdy we wrześniu 1956 roku posługaczka Maria Feren, na polecenie dr Marcina Gołębia robiła gruntowne porządki w starej drewnutni, znalazła czaszkę kobiecą, damski półbucik i parczaną teczkę. Zawiadomiony o tym dr Gołąb stwierdził na miejscu zakopane zwłoki kobiety. Zaintrygowany zwrócił się w tej sprawie do ks. Lecha, który przed 8 laty mieszkał tu, gdyż był to budynek parafialny. Ks. Lech zaproponował, by sprawę zachować w tajemnicy, a zwłoki pochować nocą na cmentarzu. Dr Gołąb jednak nie zgodził się na propozycję ks. Lecha i zawiadomił organa MO. Wtedy to ks. Lech powiedział doktorowi: „Zrobił pan krzywdę kościołowi”.

Rozpoczęło się śledztwo. Dochodzenia milicyjne rozprószyły się różnymi tropami. Koncentrowały się one jednak na osobie ks. Lecha, który początkowo zaprzeczał jakiegokolwiek osobistej i intymnej styczności z denatką, a później zeznał, że faktycznie przesyłał jej pieniądze, otrzymywane od bliźniego nieznajomego mężczyzny, rzekomo ojca dziecka denatki. Poradził ks. Lech utrzymy-

wał wersję o zwykłym „zaginięciu” Anny Kurek.

Na żądanie władz prokuratorskich dr Kobiela z Zakładu Medycyny Sądowej prof. Olbrycht w Krakowie przeprowadził ekspertyzę identyfikacyjną — antropologiczną i przy pomocy tak zwanej superprojekcji ustalił, że czaszka denatki z drewnutni jest identyczna z kształtem głowy na fotografii Anny Kurek. Był tedy materialny dowód zamordowania „zaginionej”. Nie stanowił on jednak i nie stanowi materialnego dowodu na to iż mordercą jest ksiądz Jan Lech. Co do tego istniały i istnieją poszlaki.

Po pierwsze, ksiądz Lech wiedział o morderstwie, bowiem namawiał d-ra Gołębia do zatajenia faktu znalezienia w drewnutni czaszki za-

jak szara gęś, robiąc często awantury oskarżonemu. Ks. Lech przez cały czas leżał na utrzymanie dziecka, twierdząc, jak wspominałem, że pieniądze rzekomo otrzymywał od bliźniego nieznajomego mężczyzny — jakoby ojca dziecka denatki. Organa śledcze nie zdołały jednak odnaleźć mitycznego ojca.

Przyjmijmy, iż powyższa hipoteza sprawy i motywu zbrodni na Annę Kurek jest fałszywa. Pozostają jednak pytania: 1) dlaczego ks. Lech starał się wpłynąć na dr Gołębia, by sprawę odnaleźnia zwłok denatki utrzymać w tajemnicy, 2) co kryje się za powiedzeniem księdza „robił pan krzywdę kościołowi”, 3) jaka jest przyczyna zaprzeczania ojcostwa mimo orzeczenia biegłych. Są to pytania, które stawiają po-

nie genetyczne krwi syna Anny Kurek nie potwierdził ojcostwa oskarżonego — oskarżenie automatycznie upada.

Orzeczenie biegłych w wypadku tego procesu stanowi fundamentalną poszlakę oskarżenia, a jakiegokolwiek wahania w wypowiedziach specjalistów podważa całość aktu oskarżenia.

Oskarżony przedstawił na procesie sylwetkę denatki w wybitnie ciemnych kolorach, wydając o niej najgorsze świadectwo pod względem moralnym, jako o kobiecie wyuzdanej ze wszelkich zasad, zdolnej do każdego przestępstwa. Dziwne wobec tego wydaje się stanowisko „zaginionej” w domu ks. Lecha. Mimo woli nasuwa się nowe pytanie: jakie więzy łączyły oskarżonego, człowieka z wyższym wykształceniem, z denatką, typową przedstawicielką „lumpenproletariatu”? Jeżeli wyeliminujemy związek intymny, to niezrozumiałe jest jej stanowisko w prywatnym życiu ks. Lecha na plebanii. Znowu nasuwa się pytanie „dlaczego...”, na które oskarżony nie może dać jasnej odpowiedzi.

Przyjmując twierdzenie oskarżonego, że nie łączyły go osobiste stosunki z Anną Kurek, trzeba by odpowiedzieć na inne pytanie pozostawione bez odpowiedzi. mianowicie: dlaczego portret oskarżonego znalazł się w posiadaniu denatki, za wiedzą zresztą właściciela i dlatego ks. Lech natychmiast po zniknięciu denatki zabrał portret do siebie. Skąd ks. Lech wiedział, że denatka nie powróci więcej do domu?

W tych dniach po kilku nastędnym przerwie proces został wznowiony. Czy przewód sądowy po uzupełnieniu śledztwa zdoła wyjaśnić wszystko, czy bezspornie odpowie na wszystkie pytania — dlaczego, jak i kto?

Nie ulega wątpliwości, że sprawa ks. Lecha jest klasycznym procesem poszlakowym, śledztwo nie operuje żadnym materialnym dowodem winy oskarżonego. Być może jednak, przewodniczący kompletu sędziowskiego, sędzia Migdał, potrafi w toku procesu rozgmatwać krwa w zagadkę starej drewnutni.

*) W tej kwestii jest jeden moment, który może odegrać rolę przysłowiowego „języczka u wagi”. W dokumentach śledztwa znajduje się ciekawy szczegół: ks. Jan Lech twierdził, że mitycznym ojcem dziecka jest niejaki „Jan Kslech”, co zresztą twierdziła czasami i denatka, faktycznie jednak jest to nawiązanie skrócone kryptonim.

Z powodu

Rocku na Czarciej Wyspie

Panie Redaktorze! Włodzimierz Piotrowski użnał za stosowne z racji, że był na Mazurach spisać swe wrażenia. Pan Redaktor te wrażenia wydrukował, jakby było winą Czytelników, że p. Piotrowski był na Mazurach.

Twór pt. „Rock na Czarciej Wyspie”, czytany na wszelkie możliwe sposoby: wprost lub wspak, z przymrużeniem oka, lub przez lupę, dowodzi, iż napisany został dla zaspokojenia indywidualnych niedosytów autora i reklamy kajakowej produkcji polskiej marki „Delfin”. Z niedosytów swoich p. Piotrowski zwierza się expressis verbis, powiadając, że miał skrepowane ruchy (żona, dzieci). Mimo skrepowania ruchów, a co za tym idzie i ograniczonej możliwości obserwacji, p. Piotrowski zdecydował się swoje spostrzeżenia ogłosić drukiem. Tedy niech pozwoli o swojej metodzie po znawczej publicznie sądzić.

Można iść ulicą i widzieć domy, w domach okna a za oknami ludzi. Można też iść ulicą, widzieć domy, w domach okna, za oknami ludzi i wyobrażać sobie jeszcze, że w domach stoją łóżka i ludzie zza okien odpowiednio się dobierają, kładą do łóżek, po czym czynią rzeczy, o których dzieci w żłobkach nie mają najmniejszego pojęcia.

Pierwsze widzenie ulicy jest udziałem ludzi normalnych. Drugie — ludzi obciążonych jakimś tam kompleksem. Kompleksy są też rzeczą ludzką i nie zawsze zawinione. Na ogół jednak ludzie, gdy mają czyrak na karku nie czynią go przedmiotem fotoreportażu zamieszczanego w prasie.

Pan Piotrowski widział na Mazurach chłopców i dziewczęta. Nie jest to takie znowu niezwykle, trudno bowiem, aby widział tam białe niedźwiedzie. Następnie widział namioty. Sikojarzył sobie, że chłopcy i dziewczęta mieszkają w namiotach. Reprezentując tedy tak niezwykle spostrzegawczość i zdolność przebystrego kojarzenia ludzi i namiotów, jał wyzywiad, na temat tego, co młodzi ludzie płci męskiej robią z młodymi ludźmi płci żeńskiej, skoro wchodzą razem do namiotów.

Równie dobrze mógł dać upust innej obserwacji. Na Mazurach są ludzie, nie ma weterożetów, a są krzaczkii. Cóż zatem robią ludzie za krzaczkami?!

Rzecz dawałaby świadectwo odmiennemu kompleksowi, acz reprezentującemu tożsamy smak i poziom Pan Piotrowski załatwiwszy kwestie szaleńcze lapidarną informacją,

że pijał szambo, resztę dzieła poświęca rui i poróbstwu, czyniąc przy tym skrócone kazania moralne. Tak na przykład odradza dziewczętom spać w namiotach — bowiem od tego rob'a się stare, zwiedle i zużyte. Jest to zresztą cenny konkrety — niewątpliwie novum w dziedzinie kosmetycznej.

Dalej czytamy wciąż to samo: babci, kilogramy ciała nawet temat kulinarny kończy się uwagą: „Potem kiedy w łki morskie pojedzą zdrowo... Potem...”

Potem, z okazji że krakowski ZMS urządził „bal piratów” na Czarciej Wyspie, p. Piotrowski wyobraża sobie na podstawie relacji z jakiejś drugiej, anonimowej ręki (albowiem tam nie był), że uczestnicy tańczyli nago i zajmowali się aranżowaniem zbiorowej orgii.

P. Piotrowski informuje, że milicja wyciąga z namiotów dziewczęta. Byłby to istotnie skandal godny prasowej stousunku do milicji riposty, gdyby ktokolwiek wierzył w prawdziwość takich, smakowanych i chwalebnych przez autora rewelacji.

Swoje sny o szesnastoletkach, ściągających tu na tarło, kończy p. Piotrowski stwierdzeniem, że w Dolinie Wielkich Jezior, obok erotomanów i dzielek odpoczywają tysiące starych i młodych ludzi w tym — a jakże — coraz więcej robotników.

Prawo do odpoczynku wedle mnie przysługuje nie tylko starym i młodym ludziom, nie tylko ciżmom, również erotomanom. Czyż musi ono jednocześnie oznaczać prawo do dźwięku?!

Pan Piotrowski zapełnił całą kolumnę stwierdzeniem i smakowaniem faktu, że młodzi ludzie płci obojga sypiąją ze sobą.

Co do mnie nie jestem przekonany, że takowe stwierdzenie reprezentuje wyższy walor poznawczy od stwierdzenia np., że młodzi ludzie płci obojga jadają śniadanie, obiady i kolacje. W takim jednak wypadku trzeba było przyrzadzić miżerę z ogórków lepszej jakości, jeśli się nawet już zdecydowało, że na przełomie sierpnia i września ogórki mają jeszcze prawo pojawiać się na stole.

ZBIGNIEW CHYLIŃSKI

odgłosy

GUSTAW WERNER

TAJEMNICA STAREJ DREWUTNI

mordowanej, ergo — ksiądz Lech był zainteresowany. By w tej sprawie nie prowadzono dochodzenia. Po drugie, badania genetyczne i antropometryczne dziecka Anny Kurek wskazują, że jego domniemanym ojcem jest ks. Jan Lech. Tymczasem ks. Jan Lech zaprzecza ojcostwu.

Po trzecie ksiądz Jan Lech, gdy był plebanem w Krasnem odbywał spotkania z emisariuszem nielegalnej organizacji „Odwet górski” z niejaki „Montanna”. Mógł więc zaistnieć fakt przypadkowego spotkania denatki ze wspomnianym „Montanna” w czasie poufnej rozmowy jego z księdzem Lechem. Być może denatka podsłuchiwała całą lub część poufnej rozmowy w drewnutni i dlatego musiała zginać.

Okoliczności te sugerują, iż związek księdza Lecha z Anną Kurek był dlań niewygodny i w pewnej chwili groźny, co mogło stać się motywu zbrodni.

Anna Kurek była typem niebezpiecznej kobiety, która długi czas, jak wyjaśniło śledztwo, szantażowała ks. Lecha. Świadczy o tym zeznania, że przyjeżdżając na plebanie rządziła się tam

dejrzanego w stan oskarżenia.

Na rozprawę wezwano około 40 świadków. Już na samym początku zeznania ich różniły się jaskrawo od zeznań złożonych w śledztwie. Przesłuchanie w czasie procesu zamiast wyjaśnić, gmatwa i zaciemnia obraz przestępstwa. Różnice między zeznaniami w śledztwie i w czasie przewodu sądowego są tego rodzaju, że zasadniczo utrudniają możliwość oświeślenia całości sprawy. Niektórzy świadkowie oskarżenia cofają swe pierwotne zeznania, zasłaniając się niepamięcią. W ten sposób podważa się automatycznie akt oskarżenia, a obrona ma możliwość przetasowania kari na korzyść oskarżonego.

O ile biegli w czasie rozprawy sądowej potwierdzą orzeczenia pierwotne, wydane w czasie śledztwa w sprawie znalezionej czaszki kobiecej oraz ojcostwa ks. Lecha, o tyle oskarżyciel publiczny będzie mógł kontynuować oskarżenie. Jeżeli jednak biegli uchylą pierwotną decyzję w sprawie identyfikacji znalezionej czaszki kobiecej z zaginioną Anną Kurek oraz powtórne bada-

INTERPOL działa

kokaina

heroina

haszysz

opium

kokaina

heroina

haszysz

opium

kokaina

heroina

haszysz

opium

kokaina

heroina

haszysz

opium

Jedną z najhandlowszych i niezwalczonych detad zbrodni przeciwko ludzkości jest handel narkotykami. Ofiarą strasznego nalogu bywają zazwyczaj eks-chorzy, którym aplikowano środki odurzające dla złagodzenia bólu, często jednak zdarzają się narkomani wśród ludzi słabej woli a bujnej fantazji, osobników skłonnych do perwersji, a także pospolitych snobów. Osiągane początkowo szybko miłe oszołomienie, stan błogości i euforii wymaga z czasem coraz większych dawek. Następuje zatrucie i kompletne wyniszczenie organizmu. Chorzy nie umieją już żyć bez narkotyku, gotowi są do największych wyrzeczeń, a nawet do przestępstwa, byle zdobyć upragnioną porcję. Wyzyskując tę słabość zbijają majątki szeroko rozgałęzioną mafią zbrodniczych „dostawców”. Mimowolnie powiązanie nalogowców z kryminalistami, owa tragiczna wspólnota interesów, niezmiernie utrudnia pracę policji.

Teoretycznie można by zwalczyć narkomanię przez absolutny zakaz produkcji środków odurzających, do tej pory jednak nie jest to możliwe, ponieważ ze środków tych nadal korzysta medycyna. Być może w niedalekiej przyszłości problem rozwiążą uczeni: znane są już pozytywne wyniki doświadczeń doktora Goldberga ze Sztokholmu, który uzyskał w laboratorium produkty syntetyczne o właściwościach znieczulających, wolne od ubocznego, szkodliwego działania narkotyków.

Na razie nie można więc jeszcze przeszkodzić uprawie trzech roślin, z których wytwarza się większość środków odurzających: maku na Dalekim Wschodzie, konopi indyjskich (cannabis indica) w krajach Bliskiego Wschodu i w Afryce oraz koki w Andach. Z koki uzyskuje się kokainę, z maku opium, które przetwarzają się następnie na morfinę lub najbardziej poszukiwaną na rynku heroinę. Wyciągiem z konopi indyjskich jest haszysz, w Ameryce zwany również marihuana, a w krajach Maghrebu — kifem. Heroina najprzebiewniejsza w użyciu i dająca doskonały niemal błogostan jest też najszkodliwsza dla zdrowia. Nadużycie haszyszu powoduje stan podobny do zatrucia alkoholem, chorzy stają się agresywni wobec otoczenia, zdolni nawet do popełnienia morderstwa.

Dla handlarzy interes jest znakomity. U pokątnych producentów na Wschodzie towar kosztuje grosze, w Europie cena kilograma opium dochodzi do 300 dolarów. Ale opium to tylko półfabrykat — z dziesięciu kilogramów zyskuje się kilogram heroiny, który na starym kontynencie można sprzedać za 4 tysiące dolarów, a w Ameryce pięciokrotnie drożej. Oplaca się więc eksport za Ocean — bództem jest nie tylko mecenas waluta Stanów Zjednoczonych i Kanady, w krajach tych od kilku lat popyt nieustannie wzrasta. Jak w każdej dziedzinie handlu i

talistów, którzy z zasady nie znają się wzajemnie.

By lepiej poznać rozliczne aspekty tego zbrodniczego handlu, przed kilku tygodniami w siedzibie Interpolu — Międzynarodowej Komisji Policji Kryminalnej — w Paryżu zebrał się wywiadowcy z 32 krajów. Na seminarium najpilniej uczestniczyli policjanci z Ameryki, a obok nich przedstawiciele Czarnej Afryki oraz krajów azjatyckich. Podczas wojny narkomani naszego

dawano badaniom rentgenologicznym. Nie dawało to jednak rezultatu. Dopiero później wykryto, że przemylnicy natychmiast przystosowali się do metod naukowych, zamiast tub z metalu wprowadzili nylonowe pochewki. Odtąd zwierzętom orientalnych karawan aplikuje się na granicy potężne dozy środka przeciwszczepającego.

W Europie śledzenie przemytu jest jeszcze bardziej utrudnione. Nie można przecież rewidować metodycznie, demontować wszystkich samochodów i rowerów przejeżdżających granicę. Bywają jednak przykłady zaiste niezwykle systematyczności. Kilka lat temu jednej z podobnych spraw francuska Sureté poświęciła przeszło rok czasu na przebadanie wszystkich telegramów, jakie nadesłano do pewnego wielkiego miasta. Było ich ponad milion.

Na ogół jednak najwierniejszym sprzymierzeńcem stróżów prawa jest przypadek — szczęśliwy traf, wspomagany czasem pracą „wtyczek” — najczęściej wywiadowców, którzy otrzymują rozkaz infiltracji w szeregi gangu. Jeden z takich przypadków zdarzył się w ostatnich miesiącach.

Któryś z inspektorów Amerykań-

handiarza, zdradzało po prostu kazyjnego szmuglera. Istotnie przy drugiej rewizji w Quebec znaleziono przy nim pięć kilogramów heroiny — ładunek wartości stu tysięcy dolarów po tamtej stronie Oceanu.

Terminator w fachu złoicyńcy, Giuseppe, przyznał się natychmiast. Paczkę otrzymał w bistro „Chez Juliette” w Hawrze od właściciela, z którym znalazł się przygodnie. Powiedziano mu, że jest to puder dla Instytutu Piękności. Towar miał oddać w jednym z barów w Montrealu osobie, która okaże mu drugą połowę banknotu na 10 tysięcy franków, wręczonego mu razem z pakunkiem.

Kucharza dyskretnie usunięto w cień i równie dyskretnie zorganizowano obserwację wskazanego baru. Przyjrano się obyczajom i postawom stałych bywalców. Zbadano przeszłość dzierżawcy i jego małżonki. Nie wykryto niczego szczególnego, fakt, że przed laty dama cwa oddawała się prostytutce, nie wiązał się bezpośrednio z aferą kucharza. Jednakże po kilku tygodniach nadzoru przejęto telegram o treści zupełnie jasnej: „Jak się miewa Giuseppe — stop — Hans lub Pierre zgłasza się po nowiny — stop — Neri Berrano”.



W amerykańskiej palarni opium

kontynentu, odcięci całkowicie od źródeł dostaw, przeszli niechętnie przymusową kurację i dzisiaj spożyłcy narkotyków nie stanowią w Europie problemu. Dla przykładu: we Francji, z osiemdziesięciu tysięcy domniemyanych nalogowców w



okresie międzywojennym, pozostało teraz nie więcej niż 300 do 400 osób.

Wspólnymi siłami międzynarodowa policja dawno już złamałaby potęgę podziemnego świata, gdyby nie drażniący terror wewnętrzny mafii. Niepisane prawa środowiska znają tylko jedną karę dla odstępców — karę śmierci. Egzekucji podlega każdy, kto w jakikolwiek sposób sprzeniewierzy się szefom: ośmielił się porzucić zbrodniczy proceder, skradnie trochę towaru na własny rachunek, dosypie do heroiny odrobinę cukru. Zwykli złodzieje, mordercy nawet mogą odpokutować i wrócić do uczciwego życia. Wyrobnicy tego procederu odwrotu nie mają: cóż to za wybór — kilka lat więzienia z wyroku sądu, czy kula w tył głowy z rozkazu szefa gangu. Raz wstąpiwszy do bandy na zawsze już pozostają niebezpiecznymi złoicyńcami.

Inną trudnością dla policji jest niezwykle pomysłowość handlarzy. Kiedyś celnicy perscy odkryli przypadkiem, że wielbłądy pewnego irackiego przedsiębiorstwa przenoszą w żołądkach metalowe tuby z opium. Zarządzono ścisłą kontrolę, wszystkie podejrzane zwierzęta pod-

skiego Biura Walki z Narkotykami otrzymał tajemniczą informację, że znaczny ładunek „prymki” — tak w gwarze złodziejskiej nazywają biały proszek, heroinę, którą się wacha — wypływa właśnie z Hawru do Montrealu na statku „Commandant Valin”. Zaalarmowano Interpol. Policja francuska przebadła dokładnie personalia pasażerów oraz załogi frachtowca, ale nie znalazła niczego podejrzanego.

Po stronie kanadyjskiej, nim jeszcze statek dobił brzegu, celnicy weszli na pokład i przeszukali wszystkie kabiny i możliwe schowki. Wynik był więcej niż mizerny — odkryto 12 butelek koniaku, jakie „zapomnieli” odcieć któryś z pasażerów. Jednego z policjantów zdziwiło wszakże przesadne zdenerwowanie kucharza okrętowego, nie odstępował ani na chwilę rewidentów. Postępowanie takie nie licowało z obyczajami zawodowego

Interpol szybko odnalazł owych osobników. Hans i Piotr byli to marynarze hamburscy zajmujący się zawodowo przemytem narkotyków przez Atlantyk. Ich szef Neri-Berrano importował ze Wschodu surowiec i wyrabiał środki odurzające w swoim laboratorium w Neapolu. Cała niemal szajka znalazła się pod kluczem.

Ubiegły rok był w ogóle pomyślny dla policji. Zatrzymano 137 ładunków opium, 44 konopi i 28 heroiny, łącznie ponad 7 tysięcy kilogramów narkotyków. Dla handlarzy cios był poważny, a zdaniem ekspertów tylko stała utrata towaru i związane z tym straty finansowe mogły zahamować przemyt na wielką skalę.

wg E. Hollaudera

opracował H. O.



Łup policji egipskiej: ponad 100 paczek haszyszu



Kwatera Główna Interpolu — Międzynarodowej Policji — w Paryżu



w tej działa święte kapitalistyczne prawo podaży i popytu.

Dystrybucja zorganizowana jest doskonale. Istnieją prawdziwe choć zakonspirowane konsorcja operujące wielomilionowymi kapitałami. Nieuchwytnym, bo działającym poprzez osoby podstawione, szefom — zwanym „grossium” — podlega rozwinęta sieć agentur: dostawców, hurtowników, półhurtowników i de-



— 9 —



temperatura i promieniowanie zrobiły swoje: zmarzły, wysuszyły i zniszczyły to ciało, ale wątpliwości nie mogło być. Z ziemi spoglądała na niego martwa twarz Knuta Anderse-
na!

Cragg wyprostował się i rozejrzał naokoło. Kule Kolorowe tańczyły na wzgórzach, krążąc i popychając się

— milczący świadkowie tego strasznego odkrycia. Jedna z nich, granatowa Kula, większa od innych, wtopiła się za maszyną do szczeliny; obecnie, jakby z niepokojem, kołysała się w odległości jakich piętnastu metrów.

Knut wtedy powiedział: „Diabeł nie śmieje się”. Wykrzyknął to, głos jego trzeszczał i rozlewał się, zagłuszony przez potężne promieniowanie. Ale czy to był Knut? Być może już nie żył, gdy ta wiadomość dotarła do Cragga?

Cragg obejrzał się. Krew tętniła mu w skroniach. Czy to nie Kule były przyczyną śmierci Knuta? A jeśli tak, to czemu jego nie ruszają? Oto setki ich tańczy na wzgórzach. I jeżeli to naprawdę Knut tutaj leży, wpatrując się martwymi oczami w czarną przestrzeń, to kim jest ten drugi, który powrócił do Stacji?

Cragg przypominał sobie oczy Knuta po jego powrocie do Ośrodka — to chłodne, puste spojrzenie, jakie bywa u ludzi okrutnych. Od tego spojrzenia mrówki zaczęły u niego pelzać po krzyżu. I ten Knut, który tak słabo grał w szachy, wygrał sześć razy z rzędu z Crispim.

Cragg znowu obejrzał się na maszynę. Kolorowe Kule w dalszym ciągu pisały na wzgórzach, lecz du-

że granatowa Kula gdzieś znikła. Jakieś nieuchwytnie obrzydliwe uczucie kazało Craggowi odwrócić się i spojrzeć na wir. Na jego brzegu stał człowiek. Cragg w milczeniu patrzył na niego nie mogąc poruszyć się z miejsca.

Człowiek stojący przed nim w odległości czterdziestu stóp, to był Curt Cragg!

To były rysy jego twarzy, to był on sam, drugi Curt Cragg, zupełnie jakby skreślił za róg i spotkał się z samym sobą idącym mu na spotkanie. Szybko ruszył przed siebie, następnie zatrzymał się. Strach zastąpił zdumienie; powstała ostra, jak uderzenie noża, świadomość niebezpieczeństwa.

Człowiek podniósł rękę i kiwnął na Cragga, lecz ten stał jak wkopany usiłując uspokoić bijące mocno serce.

To nie było odbicie, gdyż człowiek ten nie miał na sobie skafandra, w jaki ubrany był Cragg. I to nie był prawdziwy człowiek, ponieważ nie mógłby tak stać pod wściekłymi promieniami Słońca. Śmierć nastąpiła by w jednej chwili. Załedwie czterdzieści stóp — lecz tuż za nimi szaleje wir, który pochłonie każdego, kto przekroczy niewidoczną straszną granicę. Wir posuwa się z szybkością kilku stóp na godzinę, i to miejsce, gdzie teraz stał Cragg i gdzie kolo jego nóg leżało ciało Knuta, kilka godzin temu znajdowało się w strefie działania wiru.

Człowiek zrobił krok naprzód i w tej samej chwili Cragg cofnął się do tyłu, a ręka jego chwyciła za rewolwer. Załedwie jednak zdążył do połowy wyciągnąć broń, gdy człowiek znikł. Po prostu ulotnił się, zamienił się w nicosć. Ani dymu, ani drgania rozpadającej się materii. Człowieka nie było, lecz na jego miejscu kołysała się duża granatowa Kula.

Chłodny pot wystąpił na czole Cragga i zaczął spływać po twarzy. Zdawał sobie sprawę, że był w tej

— 10 —

chwili o włos od śmierci, a być może i nawet czegoś gorszego. Odwrócił się i jak szalony pognął do maszyny, szarpnął włącz, chwycił za dźwignię.

Pędził z powrotem jak wariat. Dwukrotnie omal nie doszło do katastrofy; raz maszyna zanurzyła się w gęstą chmurę pyłu, a drugi raz przeleciała przez jezioro roztopionego ołowiu. Cragg potężnie ścisnął ster, maszyna podskakiwała po wzgórzach śliskich od kurzu.

„Ten osobnik — myślał Cragg — który powrócił zamiast Knuta, był przecież wykapanym Knutem. Wiedział to wszystko, co wiedział Knut, zachowywał się jak Knut. Te same nawyki, ten sam głos, nawet bieg myśli identyczny. Co mogą uczynić ludzie, cała ludzkość, wobec takiego faktu? Czy zdołają odróżnić prawdziwych ludzi od sobowrotów? Jak będą mogli poznawać się? Stworzenie, które przedostało się do Ośrodka, wygrało szachy z Crispim. Crispie przyzwyczaił Knuta do myśli, że Knut gra nie gorzej od niego. Crispie wiedział, że może wygrać z Knutem w każdej chwili, ale Knut tego nie wiedział, a tym samym i stworzenie występujące jako Knut tego nie wiedziało. Falszywy Knut usiadł przy stole i wygrał z Crispim sześć partii z rzędu ku zmartwieniu i zdziwieniu starego. Czy jest w tym jakiś sens, czy nie ma żadnego?

Cragg ze wściekłością szarpnął kolo sterowe. Zahamował przed wozem i skreślił na równinę. Przede wszystkim należy unieszkodliwić Kulę, która grała rolę Knuta.

* * *

Ale znalezienie Kuli wcale nie było łatwe. Cragg i Crispie w skafandrach przestrzennych stali pośrodku kuchni.

— Powinna gdzieś tutaj być — powiedział Crispie. — Po prostu tak się schowała, że przeoczyliśmy ją.

Cragg zaprzeczył ruchem głowy.



— 11 —

— Nie, Crispie, nie jesteśmy nie przeoczyli. Wszystko przewróciliśmy do góry nogami, nie przepuściliśmy najmniejszej szczelinki.

— A może — snuł domysły Crispie — może uciekła, kiedy pilnowałem pokoju sterowniczego?

— Może — zgodził się Cragg. — Myślałem o tym również. W każdym razie wiemy, że to ona zniszczyła radiostację. Prawdopodobnie bała się, że będziemy wzywali pomocy. A to oznacza, że ma swój plan. I być może w tej chwili już go realizuje.

Stacja milczała a ciszę podkreślały i wzmacniały ledwie słyszalne dźwięki: słabe postukiwanie maszyn na niższym piętrze, syczenie i tłumione bulgotanie w atmosferycznym aparacie, chlupotanie syntetyzowanej wody.

Niech to wszyscy diabli — parsknął Crispie — wiedziałem, że nie mógł tego zrobić. Knut nie był w stanie wygrać ze mną.

Nagle z chłodni rozległo się rozpaczliwe miauczenie. Crispie skierował się w tę stronę zabierając ze sobą szczotkę.

— Znowu ta przeklęta kotka — mrucał — nigdy nie zrezygnuje z okazji, aby tam się wpakować.

Cragg błyskawicznie podbiegł i odrzucił Crispiego od drzwi.

— Stać! — rozkazał.

Matylda żałośnie miauczała.

— Ale przecież Matylda...

— A jeśli to nie Matylda? — ostro zapytał Cragg.

Od strony drzwi wychodzących na korytarz rozległo się przyjazne mruczenie. Obydwaj odwrócili się. Matylda stała w progu wyglądając z grzbiem z zadartym do góry puszystym ogonem i ocierała się bokiem o krawędź. W tej chwili z chłodni wydobył się dziki, wściekły koci wrzask.

Oczy Crispie zwały się. Szczotka upadła na podłogę.

— Co to jest? Przecież mamy jedną kotkę!

— Rzecz prosta, że jedną — uciął Cragg. — Jedną z nich jest Matylda, a druga Knutem, albo mówiąc ściślej tym, co było Knutem.



— 12 —

Przenikliwe zabrzączał dzwonek alarmowy. Cragg pośpiesznie zbliżył się do iluminatora, aby podnieść roletę.

— To Page! — krzyknął Crispie. — Page powrócił!

Cragg spojrział na niego. Na twarzy miał wyraz nieufności. Page wyjechał pięć godzin temu, bez tlenu, i mimo wszystko powrócił, jest tutaj. Jednak w tych warunkach nie mógłby przeżyć więcej niż cztery godziny.

Crispie — powiedział nagle Cragg — proszę wziąć kotkę na ręce i trzymać ją, aby nie uciekła.

Crispie skrzywił się z niesmakiem, lecz wziął z podłogi Matyldę, która głośno zamruczała czeplając się skafandra zgrabnymi łapkami.

Page wyszedł z maszyny i skierował się przez garaż wprost do Cragga. Cragg nieprzyjaźnie spoglądał na niego spod maski skafandra przestrzennego.

— Pan zignorował mój rozkaz — rzucił krótko. — Pan udał się na łapanie Kul i nawet kogoś tam złapał.

— Nic strasznego, kapitanie Cragg — odrzekł Page. — Posłuszne są jak lko-ciaki. Żadnych kłopotów z oswojeniem.

Przenikliwe gwizdnęła i z otwartego wylazu maszyny wytoczyły się dwie Kule — czerwona i zielona. Zatrzymały się i zaczęły się kołysać.

Cragg obejrzał je taksującym wzrokiem.

— Pojętne stworzenia — dobrodusznie zauważył Page.

— I akurat potrzebna ilość — dorzucił Cragg.

Page drgnął, lecz szybko opanował się.

— Tak, ja też tak myślę. Naturalnie. nauczę je obchodzenia się z przyrządami. jedynie obawiam się, że wszystkie odbiorcze stacje pójda w diabły, wystarczy, aby one zbliżyły się.

Cragg podszedł do stojaka z tlenowymi balonami i odrzucił przykrycie.

— Jednego nie mogę zrozumieć — powiedział. — Uprowadzałem, że maszynę z tlenem nie zdoła pan otworzyć. Uprowadzałem również, że bez tlenu pan zginie. Tymczasem pan jest żywy. Page zaśmiał się.

— Miałem nieco tlenu schowanego, kapitanie. Przewidywałem, że pan mi odmówi.

Cragg wyciągnął jeden z balonów ze stojaka.

— Pan kłamie, Page — powiedział spokojnie. — Pan nie miał innego tlenu. Zresztą wcale nie był panu potrzebny. Każdy człowiek umarłby po opuszczeniu tego miejsca bez tlenu, ale pan nie umarł. Dlaczego? Dlatego, że pan nie jest człowiekiem.

Page szybko cofnął się, lecz zastygł w miejscu nie odwracając wzroku od balonu z tlenem. Cragg ścisnął w palcach kurek kontrolny.

— Jeden ruch, a wypuszczę tlen — powiedział posępnie. — Pan zapewne orientuje się, co to jest? To płynny tlen pod ciśnieniem 200 atmosfer. Zimniejszy od przestrzeni kosmicznej!

Uśmiechnął się złośliwie:

— Niewielka porcja przewróci do góry nogami pański organizm, czy nie tak? Wy, Kule, jesteście przyzwyczajone do życia tam, na górze, w piekielnej temperaturze i nie znosicie chłodu. Potrzeba wam olbrzymiej ilości energii, a u nas tutaj, wewnątrz Stacji energii jest mało. Musimy ją oszczędzać, gdyż bez niej zginie. Jednak w płynnym tlenie energii znajduje się jeszcze mniej.

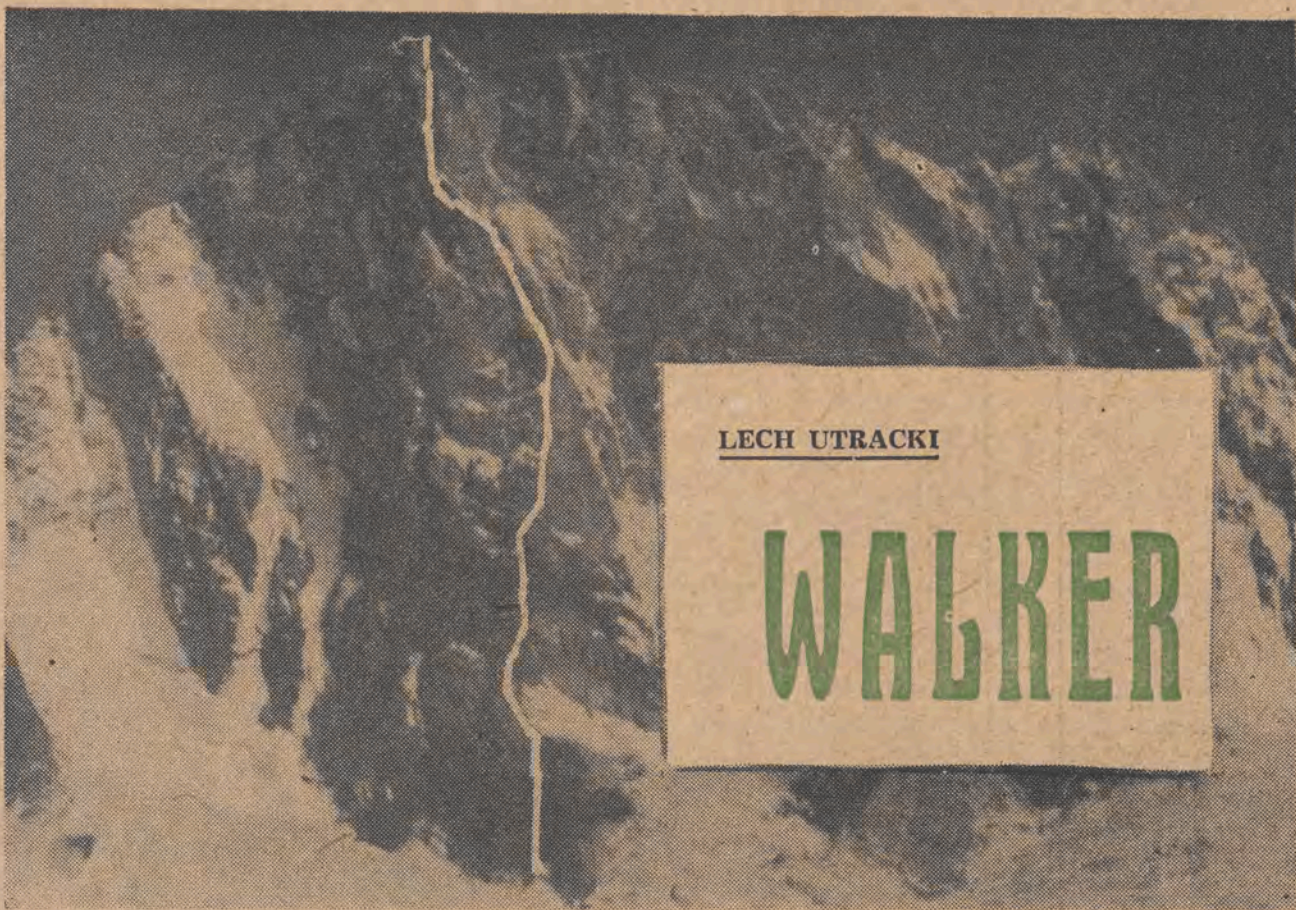
— No, gdyby nie wasze kosmiczne skafandry, inaczej byśmy rozmawiali — oświadczył z goryczą pseudo-Page.

— Jak widzę zaskoczyły was — uśmiechnął się Cragg. — Nałożyliśmy je dlatego, że uganiał się za pańskim przyjacielem. Przypuszczam, że znajduje się w chłodni.

— Mój przyjaciel w chłodni?

— Tak, ten, który tutaj wrócił zamiast Knuta. Przeistoczył się w kotkę Matyldę, gdy zorientował się, że na niego polujemy. Lecz był zbyt gorliwy. Tak dalece poczuł się Matyldą że zapomniał kim jest w rzeczywistości i wszedł do chłodni. Jak się okazuje nie jest to w jego guście.

(d. c. n.)



LECH UTRACKI

WALKER

W połowie czerwca otrzymałem telegram; proponujemy obóz czołowy chamonix lipiec drugi biel odpowiedź odwrotnie.

I rozpętało się piekło: 23. VI. wyjechałem do Bezingi (Kaukaz), a 13. VII. byłem już w kraju. Po dwóch dniach załatwienia wiz i kłauzul wsiadłem do samolotu. W nocnym ekspresie Paryż — Chamonix spędziłem pierwszą od trzech tygodni prawdziwie wygodną noc. Rano przez lasistą Sabaudię mknęliśmy już znajomym sprzed dwóch lat szlakiem; brunatno — mętne wody Arwy sygnalizowały bliskość lodowców.

Wykapani, odświeżeni udaliśmy się do dyrektora Szkoły, pana Jean Franco.

— Pomysł zorganizowania takiego obozu wypróbowałem już pięć lat temu. Zaprosiliśmy wtedy tylko cztery kluby zagraniczne. To było miłe i pożyteczne spotkanie.

— A z ilu państw macie obecnie gości?

— Z czterdziestu, w tym Indzie (sem Jego Eksceleńca dyrektora Szkoły Sierpów z Dardżilingu), Japonia, Kanada, USA, Nowa Zelandia, Jawa, oraz oczywiście z Europy. Zresztą gdy jutro wrócą z gór poznacie ich wszystkich.

— Kiedy rozpoczął się obóz?

— Dwa dni temu. Nie macie co rozpaczać. Obecne drogi to raczej turystyczno-rodzinne promenady. Nie wszyscy znają Masyw.

— Chcemy... spróbować Walkera... — mówię. — Później może Droite lub Mont Blanc.

— Spróbować Walkera... — Franco powtarza cicho. — Grandes Jorasses. Cóż za kilka dni, za tydzień warunki mogą być. Sami znacie najlepiej własne możliwości. Porozmawiajcie z Contaminem: on opiekuje się obozem. Wiedzie gdzie jest jadalnia? Smacznego.

Walker, nazwisko jednego z pionierów alpinizmu, dziś brzmi jak zaklęcie. Stało się to dzięki nazwaniu tym mianem najwyższego z wierzchołków Grandes Jorasses. Począwszy od 1918 roku walka o zdobycie północnego filara tego szczytu rozpętała u myśli wspinaczy całego świata. Dopiero po dwudziestu la-



Staszek
Biel
i Andrée
Contamine

tach dramatycznych walk i odwrotów trzem Włochom udaje się dokonać tej sztuki.

Dwa dni po przyjeździe do Chamonix ruszamy w góry. Z szarego nieba sączy się kapuśniaczek. Czyż można się dziwić, że nasz przygodny towarzysz z koleżki — alpinista z Wysp Brytyjskich — troskliwie zaopatrzyl się w parasol?

Wieczór nadechodzi jednak pogodny i zimny. W skośnych promieniach zachodzącego słońca ogromna dwukilometrowa ściana wznosi się jak fantastyczny mur. Patrzymy z niepokojem na nikłą rzeźbę skał, na płaty lodu i śniegu. Monolityczne płyty przegradzające w trzech miejscach filar i ogarnia nas zwątpienie. Przypominają się znane z książek opisy ataków i niepowodzeń, żmudne odwroty w zapadającej tu gwałtownie niepogodzie.

Poranne słońce łapie nas 700 m ponad biwakiem. Po kruchych i łatwych skalach



Jakiej narodowości jest alpinista wybierający się na wspinaczkę z parasolem? - Anglik! - Prawidłowo

wchodzimy w ogromne zacięcie biegnące przez pierwszy pas przewieszonych płyt. Kiedyś przechodzono je przy pomocy wieszanych pętl, dziś jęcząc z wysiłku walczymy jak z niedźwiedziem gołymi rękami, i gdy mięśnie dretwieją od krańcowego wysiłku, padamy półmartwi na platformę. Gdybyż można było plakać; zostaje jeszcze 900 m ściany, a ręce jak szmaty. Przed nami główne trudności. Czym je atakować? Co robić?

To nieprawda, że człowiek jest silny. Człowiek jest tylko ambitny, uparty i to stanowi jego siłę.

Znow zacięcie. Dziewięćdziesiąt metrów prawie pionowego „kąta”, w którym

Północna
ściana Grandes Jorasses.
Droga zaznaczona na zdjęciu wiede na Walker

z wysiłkiem. Z obdartych kostek kapie krew brudząc skały i linę.

O drugiej znajdujemy kawałek płaskiej półeczki z lodem. Gotujemy z niego herbatę. Jest to pierwszy posiłek po trzynastu godzinach wysiłku. Kilka zdjęć panoramy i dalej.

Dopiero teraz zaczynam odczuwać prawdziwą przyjemność wspinania. Lodowy komin — jedna noga na jednej ścianie, druga na drugiej — nadzwyczaj delikatny trawers, zjazd dwadzieścia metrów i wahadło po gładkiej ścianie na leżącą 6 m w prawo małą półeczkę, znów komin i oto główna przeszkoda na drodze — 200 m prawie pionowych płyt.

Jest rzeczywiście trudno, lecz idzie mi się lekko, pewnie. Słońce tnie z prawa ostrymi promieniami i nie wiem skąd przyplątuje mi się motyw poloneza as-dur. Jak koń czujący bliskość stajni wychodzą na pełną długość liny, wciągają swój plecak, asekuruję Staszka, znów wspinam się 30 m wyżej (często wychodzę wprost nad jego głowę), wyciągam plecak i da capo.

— Która godzina?

— Siódma. Masz dość karabinów?

— Tak. Asekuruj. Trzeba pomyśleć o biwaku.

Piętrzące się nad nami przewieszane, płyty próbuję ominąć trawersem w prawo.

— Do granicy nie dojdziemy przed nocą. Asekuruj, Chcesz się pozbyć konkurenta?

— Co bym sam...

Dalszego wywodu nie dośłyszałem. W ferworze dyskusji chwyciłem za płytowy kamień. Jeszcze szarpnąłem się, by znaleźć na oślep jakiś zaczep dla lewej ręki; ściana była pionowa i gładka. Runąłem do tyłu, głową w dół. Błysk jakiegoś obrazu, uderzenie, szarpnięcie i wiszę kilka metrów poniżej Staszka.

Kliniemy jak na komendę. Ja pokaleczyłem ręce o skałę, jemu lina odparzyła dłoń. Wiszenie nie jest przyjemną pozycją. Ruszam dalej. Kilka metrów poniżej poprzedniego trawersu łatwo dochodzę do dobrze urzeźbionej rynny a nią do wygodnej półki z wodą. Tu będziemy spać.

Noc i półtora dnia spędziłem na filarze Walkera. Później na szczycie kłując pocałunek (do dziś czuję jego słono-kwaśny smak — smak

naszego zwycięstwa) i bezkresne zdawałoby się brodzenie w mokrym, lawinastym śniegu na grani. Później to długie, długie zejście uwieńczone znalezieniem porzuconych przez kogoś sześciu świeżych śliwek i kilku kostek cukru, co skłoniło nas do zrezygnowania z dalszego marszu do schroniska (50 m!!!) i rozbicia jeszcze jednego biwaku. Później kwiaty i las doliny Aosta i jazda kolejką nad Białą Doliną. W Chamonix wręczono nam gazetę z artykułem o naszym przejściu (obserwowano nas przez lunetę!), gratulacje i aperitif.

Pogoda skończyła się następnego dnia po naszym powrocie. Impas się udał.

Dwa lata temu... Dwa lata temu ze Staszkiem, z moim towarzyszem od liny Jurkiem, który teraz moknie na Szpicbergenie, z Wawą-Zuławskim szliśmy po zaginionego Mojżesza - Grońskiego. Dziś obaj, ten Mojżesz i Wawa, leżą gdzieś wysoko, nad Chamonix wtopieni w ciało lodowca. Tutaj, na dole, w szarym murze cmentarza, tkwi czarna tablica z francuskim tekstem:

„18 lipca 1957 roku niosąc ratunek swym kolegom alpinistom zginął w lawinie i leży w szczelinie lodowca Mont Blanc du Tacul Wawrzyniec-Laurent Zuławski urodzony w Zakopanem 14 lutego 1916 roku muzyk i kompozytor polski, pisarz-alpinista. Swemu prezowi Polskie Towarzystwo Autorów „Zaiks”.

Chamonix w szczególny sposób wiązało się z historią polskiego alpinizmu. Było miejscem jego największej w Alpach tragedii i było miejscem największych tryumfów. Przejście grani Peuterey, zachodniej ściany Dru, filaru Walkera są naszymi szczytowymi osiągnięciami alpinistycznymi.

Teraz czas ruszyć na szczyty Andów i Himalajów, by tam zmierzyć się z ekipami sławnych eksploratorów jak równy z równym.

A Chamonix? Pozostanie nadal jednym z najprzyjemniejszych nam miast, do którego wracamy ze szczerym sentymentem.

Dobrze jest, leżeć na trawach Brevent oglądając z tej perspektywy dalekie śniegi Mont Blanc, dobrze jest je żegnać z plecakiem ciężkim od sprzętu i jedzenia i dobrze witać wracając jak do domu na gęstą kawę (jej smak przesładuje mnie później cały rok w kraju) i aromatyczny Roquefort od Mamy Picon...

Zdjęcia autora

Staszek Biel
na pierwszym zacięciu na filarze Walkera

U Mamy Picon można dostać wszystkie gatunki sera. Co dusza zapagnie

schodzą się dwie prostopadłe do siebie granitowe płyty. Zostawiam plecak Staszce i pnę się niezgrabnie, ciężko,



HUMOR



Bez podpisu



Bez słów

Redaguje Zespół — Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa”. Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 98. Tel. 244-79. — Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł, kwartalnie 12 zł. — Redakcja nie zwraca nadesłanych manuskryptów. — Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zastrzeżeniem na „Odgłosy”. Druk: RSW „Prasa”. Łódź. Zwińd 17. Z. 2656. IX. 59. S-9

MieSzaniny

pod redakcją JANA HUSZCZY

Pożegnanie wakacji

Skończył się sierpień: słodkie sliwy w zielonych liściach nad parkanem, w dali tak zwane złote niwy, powietrze stygnie jakby szklane.

W kieszeni bilet mam do Łodzi czyli, że — psia krewa — znów do zajęć, choć jeszcze długo chciałbym w wodzie siedzieć i nie kłaść na tramwaje!

Przy brzegu łódka, leżą wiosła, lecz ich nie ruszę jak co rana, by nas ku plaży szybko niosła Wisła, w swe szumy zasłuchana...

Majewska, żegnaj! Już w ogródku nie będę gwizdał ci na flecie... Zanim się stoczy łezka smutku, ach, jeszcze zjedźmy po kotleciku!

Luźne notatki

Rzadko recenzje teatralne piszą ci, co mają wiedzę o teatrze. Częściej piszą je ci, co mają papier i atrament.

I w Warszawie można się urodzić pascanowianem!

Gdybyż, dla odmiany, choć raz ukazało się w jakimkolwiek piśmie ogłoszenie tej treści: „Zgubiłem właściciela. Wabi się Jan Filalkowski. Brunet, trochę wstawiony. Łaskawego znalazcę proszę odprowadzić za wynagrodzeniem: Pikus. Aleja Westchnień 17, podwórko, trzecia buda na prawo”.

Cóż to za szczęściarz! Jemu nawet każda polska zapalka dostarcza ognia!

Idąc do ślubu, nie zapomnij zabrać ze sobą obłubienicy!

Patrz w przyszłość i w dal, ale przechodząc przez ulicę nie zapomnij, że możesz cię przejechać samochód.

Czyście widzieli choć raz pijaków, którzy by wchodzili do baru z postanowieniem: — Wypijemy dwa litry wódki!

Wchodząc, zawsze siebie uprzedzają: — Wstąpimy, ale tylko na jednego...

Ludzie chętnie okłamują nawet samych siebie!

Rozmawiają dwaj młodzi literaci o artykule swojego, również młodego, kolegi.

I: — Dobry i ciekawy artykuł! Nie ma co, udał mu się!

II: — Eee, skądże! Zbyt oczywisty i rozsądny!

O gwałnym dygnitarzu: ten, gdy udaje się na spoczynek, przypina order do swojej nocnej koszuli — tylko one dają mu poczucie, iż rzeczywiście jest coś wart.

Od dawna już zauważono, że kobieta im frywolniej się ubiera, tym większy złoty krzyżyk zawiesza na szyi. Ach, ta trudna do przezwyciężenia potrzeba jakiegokolwiek ekspiacji!

Mieszane towarzystwo, do którego przysiadłem się w cukierni, gwałtownie atakowało niejaką Ciuchcińską.

Sypały się zarzuty, potwierdzone zresztą przez i mnie trochę znane fakty.

Ciuchcińska to intrygantka!

Ciuchcińska nie jest lojalna wobec męża!

Ciuchcińska unika wszelkiej pracy...

Ciuchcińska nie dotrzymuje żadnych zobowiązań i nawet pożyczek nie zwraca!

Ciuchcińska maltretuje swoje dzieci!

Kiedy zarzuty zostały wyczerpane, towarzystwo nagle się zerwało:

— Oj, już szosta!

— Posiedźcie jeszcze trochę — proszę — dokąd tak śpieszycie?

— Musimy zdążyć do kwaciarni, żeby kupić kwiaty! Przecież dziś imieniny Ciuchcińskiej!

Zła to dyskusja, gdy wszyscy pozostają przy swoim zdaniu.



PROSZEK,
który gorącej
wodzie nadaje
barwę i smak
KAWY

ŻĄDĄCIE WE WSZYSTKICH SKLEPACH SPOŻYWCZYCH

Łódzkim kawiarniom i in. przedś. gastronomicznym udziela się 20% rabatu!!!

Przegląd prasy

„Wędrowiec” z 1899 roku szego Leszka Białego do przypomina:

„W archiwum watykańskim, a właściwie w tzw. bibliotece, znaleziono niedawno osobliwy archiwalny, dający pewien rys historyczny do ciężkiego materiału średniowiecznego. Mianowicie jest to list na-

szego Leszka Białego do papieża Honoriusza III z prośbą o zwolnienie go od ślubów pielgrzymki do Ziemi Świętej. Leszek Biały przytacza jako powód, że w Palestynie nie ma piwa (cerevisia), a on bez tego trunku obejść się nie może...”



Scena z filmu „Wystawa abstrakcjonistów”

Najmniejsze gwiazdy

Dokończenie
ze str. 3

według bajki Krasińskiego. Silnie oświetlona makieta obrazuje dziurę w murze poprzez którą kot bohater usiłuje wynieść klatkę z myszą zdobyczą. Ale co to? Koci figiel nie udaje się, klatka jest zbyt duża, dziura za mała, a więc kocie oczy muszą być bardziej rozłożone. Młody realizator filmu, Tadeusz Wilkosz, podchodzi do makiety, poprawia, ustawia, odchodzi, przygląda się.

— Czasem trzeba i bohaterowi pomóc — wyjaśnia pan Wilkosz, wchodząc za makieta. Jeszcze raz poprawia, dogląda, nim padnie słowo:

— Dwie po krzyżu! (???) Po krzyżu czy nie po krzyżu, ale praca tych ludzi jest naprawdę bardzo ciężka. Zajrzyjcie do następnej hali, w której reżyser Dembiński realizuje film pt. „Pyza” według opowieści Hanny Januszkiewicz. Jest upalny dzień, okna hali szczerze zasłonięte. Plan, na którym reżyser animuje, oświetlony jest... 30 kłw!

Trzeba wielkiego umiłowania własnego tworzywa, by podolać tej mrówczej, ciężkiej pracy, pokonując, niekiedy całymi latami, ogrom trudności, zanim dojdzie się do wybitnych rezultatów.

— Jakże pana filmy otrzymały nagrody międzynarodowe? — z tym pytaniem zwracam się do twórcy pierwszego filmu łalkowego w kraju — (w kraju, ponieważ za granicą pionierem filmu łalkowego jest żyjący w Paryżu Władysław Starewicz Polak z pochodzenia) reżysera Zenona Wasilewskiego.

— Film „Za króla Krakusa”

sa” uzyskał nagrodę na konkursie filmów dziecięcych w Paryżu i Rio de Janeiro, o czym prasa nawet nie wspomniała. W Wenecji nagrodzony został film „Czarodziejskie dary”.

A jak to się zaczęło? Otóż przed wojną, jako plastyk, współpracowałem z „Cyrulikiem” a następnie ze „Szpilkami”. Zaczęło się od tak zwanego rysunku fotograficznego, potem rzeźba w plastelinie, aż wreszcie próby poruszania łalką. Zrobiłem wtedy reklamówkę o kapeluszu firmy Młodkowskich. Pamiętam, że łalka idąca ulicą zgubiła głowę z kapeluszem. Prośby o powrót głowy na swoje miejsce nie odnosiły skutku, ponieważ głowa żąda nowego kapelusza od firmy... Na początku 1939 roku przystąpiłem do kręcenia filmu o Krakusie i smoku. Przerwała wojna. Dopiero w roku 1945, po powrocie z ZSRR wraz z moją siostrą, panem Edwardem Sturlem i Hanemem powtórzyliśmy ten film. Tak powstały filmy „Za króla Krakusa”, „Lis i bocian” i „Lis chytroszek”, w bardzo prymitywnych warunkach, kręcone w prywatnym mieszkaniu.

Oczywiście, dzisiejsze warunki pracy reżysera filmu łalkowego w nieczym nie przypominają pierwszych powojennych lat, w których to trzeba było być — wszystkim — literatem, plastykiem, reżyserem, operatorem. Dziś za plecami studia stanowią poszczególne pracownie od stolarskiej poprzez modelarską, konstruktorską, na kostiumerni kończąc.

— A łalka musi być wykonana precyzyjnie i dokładnie, zgodnie z projektem. Jej głowa, ręce i kostium muszą być zrobione z taką dokładnością, by nie zna-

było żadnych „grubych szwów”, żadnych niedokładności materiału, z jakiego została zrobiona — opowiada pracownik kostiumerni pani Sitek. — Wymaga to od nas pomysłowości, precyzji i... cierpliwości, a jednak nie zamieniałabym tej pracy na żadną inną.

— Jak długo trwa praca nad łalką? — zwracam się do siedzącej obok pani Jasińskiej.

— To zależy od projektu. Niekiedy trzeba na to poświęcić i sześć dni, jak na przykład przy postaci gubernatora z filmu „Pozytywka” który musiał być ubrany w strój galowy. Natomiast pan Niteczka, o ten, posiada już tylko skromny sportowy strój...

Pełen podziwu opuszczam ten zaczarowany świat. Jeszcze ostatnie pytania do dyrektora Studia Filmów Łalkowych w Łodzi, Ryszarda Brudzińskiego:

— Jaką pozycję zajmujemy w skali międzynarodowej?

— Myślę, że z naszymi osiągnięciami znajdujemy się w czołówce światowej, obok Czechosłowacji.

— Pan dyrektor jest, jak mi wiadomo, autorem nagrodzonych scenariuszy do filmów łalkowych.

— Tak. Film „Cyrk” według mojego scenariusza, a reżyserii pana Haupe otrzymał nagrody w Bukareszcie i Paryżu, natomiast „Rodowy klejnot” w reżyserii Lidii Hornickiej w Vancouver (Kanada).

Opuszczam zaczarowany świat Studia Filmów Łalkowych z przeświadczeniem, że twórcy tak ambitni potrafią już w niedługim czasie podbić również i — dorosłych.

M. ZDROJEWSKI

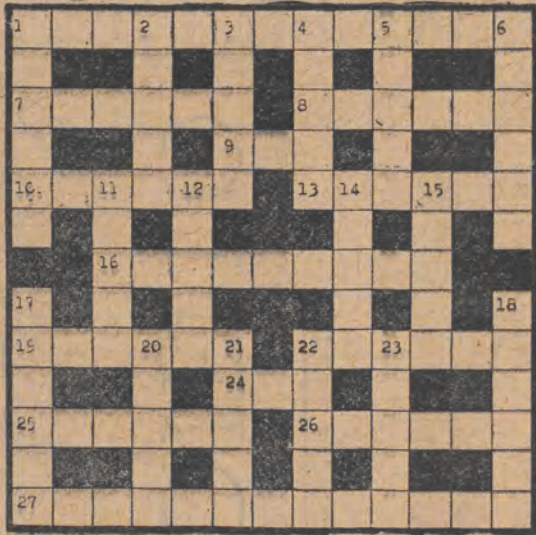
Znaczenie wyrazów:

Poziomo — 1) Własność ciała polegająca na tym, że jego przenikalność magnetyczna jest nieco większa niż przenikalność magnetyczna próżni, 7) Podstawa, 8) Różnica, 9) Imię męskie, 10) Śmiałość, 13) Przyrząd służący do wykonywania okręślonej pracy, 16) Figura geometryczna, 19) Kawalek świecy, 22) Szkatulka, 24) Utwór poetycki, 25) Tylna część parowozu, 26) Stolica Kolumbii, 27) Gałąź paleontologii zajmująca się badaniem roślin kopalnych.

Pionowo — 1) Jądro atomu wodoru, najmniejsza cząstka o dodatnim ładunku elektrycznym, wchodząca w skład wszystkich jąder atomowych, 2) Jedna z elektrod, 3) Roślina ozdobna, 4) Zimowy sprzęt sportowy, 5) Otyłość, 6) Łódź, 11) Ognisko u górali, 12) Poważnie, ciężko, 14) Powszechność, codziennność, 15) Grzyby, 17) Progresja, 18) Warzywo, 20) Działaczki społeczne, 21) Łódź, 22) Rafan, 23) Duży garnek.

Termin nadsyłania rozwiązań — 2 tygodnie.

Nasza krzyżówka



A. NIESMIAŁEK

Nowy „Niebieski motyl”

Naszym Czytelnikom nie trzeba wyjaśniać kto to Mariena Dietrich — aktorka będąca aktualnym tematem na szpaltach magazynów filmowych świata. Starsi z naszych Czytelników pamiętają być może przedwojenne filmy z jej udziałem, trochę młodszy mogąc mieć w pamięci jeden film nakręcony w czasie wojny przez Rene Claira pt. „Pamięć Nowego Orleanu”, z jej udziałem w roli głównej.

Obecnie coraz częściej pisze się o „boskiej” Marienie z najzgrabniejszych ponoć nogami świata. Ten swego rodzaju szum wśród snobów i nienobów powstał w związku z filmem, który realizuje obecnie amerykański reżyser Edward Dmytryk, twórcą filmowej adaptacji „Młodych lwów” — literackiego bestsellera ostatnich lat. Postanowił on zrealizować drugą wersję filmu, który ujrzał światło ekranów akurat trzydzieści lat temu. Filmem tym jest dziś już klasyczne dzieło kinematografii światowej, wyświetlany przed wojną w Polsce pt. „Niebieski motyl”, a gdzie indziej znany jako „Profesor Unrath”. Twórcą „Niebieskiego motyla” z roku 1929 był Józef von Sternberg, amerykański reżyser austriackiego pochodzenia. „Poszukiwanie zbawienia” był jego pierwszym filmem samodzielnie zrealizowanym w roku 1925. W cztery lata później powstaje jego pierwszy dźwiękowy film „Piorun”. Drugim jest „Niebieski motyl”, w którym Mariena Dietrich w roli tancerki „Loli-Loli” rozpoczyna swoją wielką karierę artystyczną trwającą do naszych czasów.

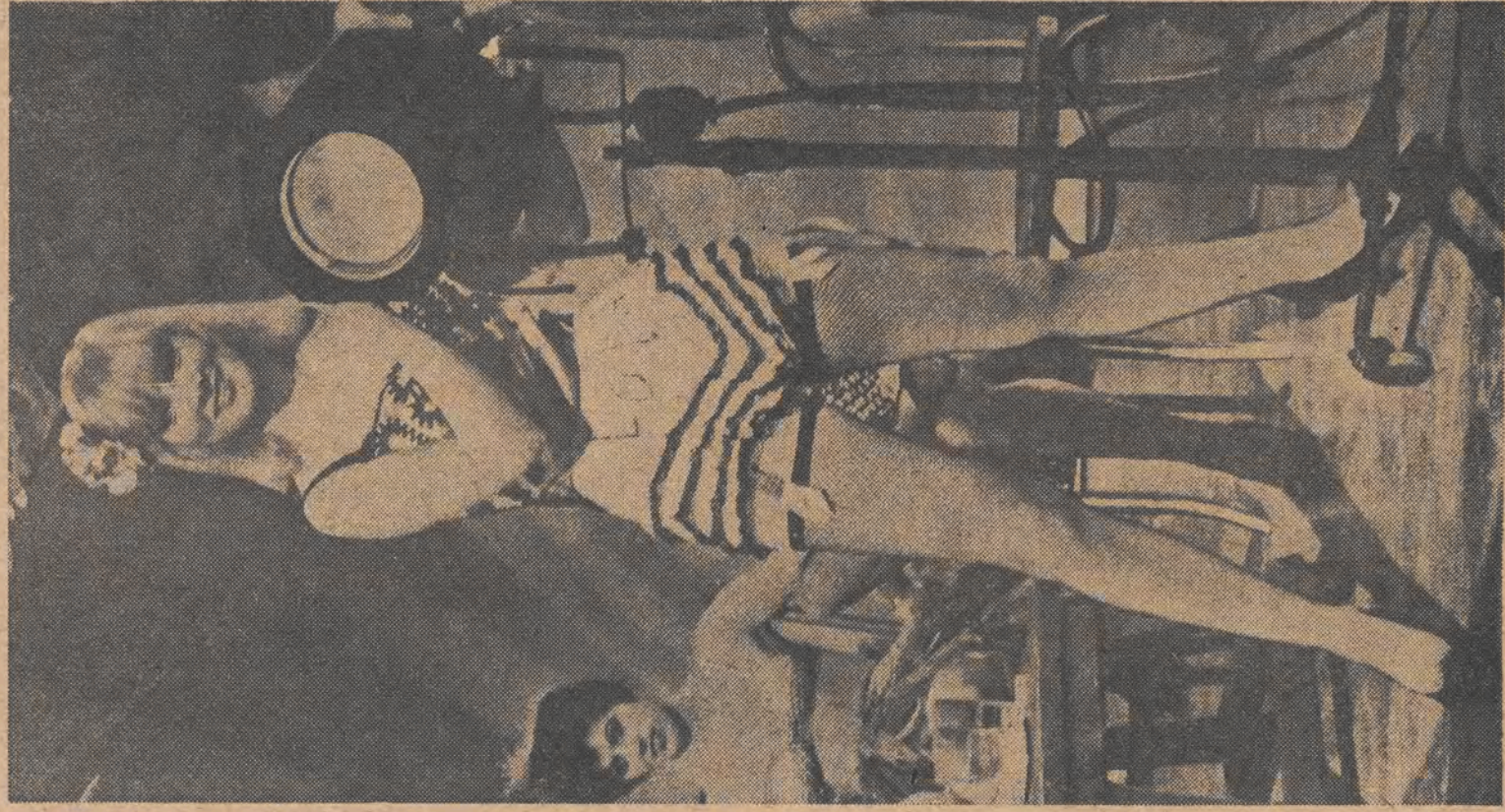
Scenariusz filmu był adaptacją powieści Henryka Manna pt. „Profesor Unrath” (tego samego pisarza, którego dobrą adaptację „Poddanego” realizowała już po wojnie NRD-owska „DEFA”). Na fabule „Niebieskiego motyla” składają się losy typowego bel-

Prawie równocześnie obejrzałem dwa filmy kończące się podobną śmiercią otworzyn główną rolę kobiecą. Obie zginęły przez uduśnienie. Pierwszą, Desdemone, zamordował Orson Welles, zgodnie z wytycznymi Szekspira, druga, Carmen — wyzbyła się życia w nieco odmiennych okolicznościach, za sprawą ciemnoskórego śpiewaka, znanego jako Harry Belafonte. Omawiane filmy, poza tym, że są one produkcjami amerykańskiej, łączą jeszcze stosunkowo mały pietyzm w stosunku do pierwotnego wzoru. Szczególnie w wypadku kolorowej i panoramicznej „Carmen Jones”, filmu, który jest dwojacznie „uwspółcześnioną” operą, zgrabnie pomyślaną przez reżysera (Otto Preminger) i doskonale odśpiewaną „Carmen”, to także popis gry aktorskiej, jedynie Harry Belafonte, zgodnie z tradycją utrzymywaną przez śpiewaków próbujących szczęścia na ekranie, robi co może by nie sposób było go oglądać.

„Otello” — to przede wszystkim zaskoczenie. Bohater, czyli Otello „amerykański” — zgodnie z popular-

ANDRZEJ DOŁĘGA

OTELLO I CARMEN



fra pruskiego, który wpadł w miłosne sidła tancerki Loli, „kobiety-wampa” staczając się pod jej wpływem na dno upadku. Pro fesor Unratha grał w 1929 roku Emil Jannings, jeden z nawiększych aktorów w historii filmu. Po trzydziestu latach Marienę Dietrich w roli Loli zastępuje May Britt — szwedzka aktorka „odkryta” w roku 1952. (Proszę nie mylić filmowej May Britt z nie mniej popularną u nas tancerką na lodzie, którą na wiosnę bieżącego roku oglądaliśmy w Łodzi). Sławę i rozgłos przyniosła jej rola Soni w „Wojnie i pokoju” reżyserii Kinga Vidora. Porównując ją i jej słynną poprzedniczkę odnosi się wrażenie, że May Britt reprezentuje inny, bardziej „nowoczesny” typ urody. Obok re-produkujemy zdjęcie z nowego „Błękitnego motyla”, realizowanego w Hollywood oraz w zachodniomontemickich atelierach,



nymi przekonaniami — winien być nieokreślonym dzikusiem, Murzynem sadyzą, miotającym szalami namiętności. Z okazji premiery innego „Otella”, zrealizowanego przez Jukiewiczą, mówilo się przecież o odmiennie niż wellesowska interpretacji, o nowym, szlachetnym Otellu! Ba! — o przeciwstawieniu nawet. Tymczasem zarówno Orson Welles jak i Sergiusz Bondarczuk dali nam postać w równej mierze prawdziwą i sympatyczną. Otello Wellesa w równej mierze nie jest ponurym zadrósłnikiem, jak Bondarczuk nie jest Wellesem. Opowieść o skutkach przesadnego zaufania, wbrew pochopnym zapowiedziom, obyla się bez denerwujących uproszczeń.

Za uproszczenie może ktoś natomiast poczytać Wellesowy sposób osadzenia dramatu. Cała ekspozycja została zamknięta kilkoma słowami komentarza, utrzymanego w konwencji kroniki filmowej! Co więcej — „Otello” jest filmem pełnym nieoczekiwanych skrajności. Z jednej strony rzecz jest ufilmowana przemocą; gdzie się tylko dało wprowadził Welles

światło, zbliżenia, poczynił skróty lub wplótł nową scenę. Tę samą rolę spełnia montaż, zaskakujący niekiedy, ale jak zwykle u Wellesa precyzyjny. Wreszcie Otello w interpretacji Wellesa jest bohaterem zagranym przez aktora filmowego, który potrafi gest i słowo stonować zgodnie z wymogami kamery. Równocześnie jednak pozostali aktorzy, tworzący tło dla Otella i Desdemony (Suzanne Cloutier) grają w maniere teatralnej (Jago!), co jest niezdrowe i koliduje z narzuconą filmowi stylistyką.

„Otella” oglądamy po siedmiu latach od chwili nagrodzenia tego filmu na festiwalu w Cannes („Grand Prix” ex aequo z włoskim filmem reżyserii Castellaniga „Nadziei za dwa grosze”). A filmy, niestety, starzeją się przedko. Np. sprawa plastyczna „Otella”, niemodna bo pretensjonalna. Nie giną jedynie kreacje. Dlatego z głośnego w swoim czasie „Otella” pozostała jedynie postać odwrócy roli tytułowej. Niezapomnianego obywatela Kane.



JERZY LESSMAN

LOS CZŁOWIEKA

Wczesna wiosna. Drzewa kwitną, ale nocy są jeszcze mroźne. Chmury nisko się kłębią nad ziemią. Cisza; tylko chwilami dobiega bzykanie owadów i szelest wiatru. Jakby ekran rozzerwał się nagle i otworzył widok na rozległą równinę.

Polną drogą idzie mężczyzna z małym chłopcem. Zbliżają się powoli. Możemy im się dokładnie przyjrzeć... „Los człowieka”. To właśnie pierwsza sekwencja tego doskonałego filmu.

Sergiusz Bondarczuk, którego zaliśmy dotychczas jako dobrego aktora — ukazał nam swe drugie oblicze — reżysera filmowego. Jego debiut przeszedł oczekiwania, stał się rewelacją Moskiewskiego Festiwalu Filmowego. „Los człowieka” kontynuuje ten nurt w kinematografii radzieckiej, który zapoczątkowały przed rokiem „Lecą żurawie”.

Przejmując prawdziwie i szczerze opowiedziana historia życia, chciałoby się powiedzieć jednego z nas, wywiera na widzu wielkie wrażenie. I przede wszystkim przeżywa wojenne bohaterstwa. Ale nie te, które znamy z wielkich filmów, batalistycznych, w których bardziej liczyły się armaty i maszyny niż ludzie.

Rzemiosło reżyserskie Bondarczuka wspina się na wyżyny za-

kreślone przez tytanów kinematografii — Eisensteina, Pudowkina. Choć w filmie są niektóre natrętnie skojarzenia montażowe, miejscami jakaś niezamierzona pompatyczność, niedociągnięcia te jednak, stają się nieważne po obejrzeniu całości. Tragiczny odwrót wojsk radzieckich w 1941 r., niewola, obóz...

Szczególnie pozostaje w pamięci jazda Sokołowa (takie nazwisko nosi bohater filmu) ciężarówką podczas bombardowania. Ciężni atakujący samolotów, fontanny płasku i wreszcie niemiłotny los samochodu: wybuch, trafiony. Ekran zalega ciemność. Słychać jakieś odległe dźwięki. Potem cisza. Ale los człowieka nie dał mu tak łatwo zginąć. Wraz z powrotem świadomości rannego, ekran się rozjaśnia. Zaczynamy rozróżniać najbliższe przedmioty.

Kapitałna jest także scena w zburzonej cerkwi, w której zamknięto jeńców na noc. To majsterszyk reżysera i operatora. Trudno zapomnieć tę scenę. Ekspresyjna, nastrojowa fotografia potęguje wrażenie. Zdjęcia są bowiem mocnym krągostupem filmu. Wybitnie współdziałały w osiągnięciu zamierzeń reżysera. Doświadczając nastrojem, katem widzenia kamery. Ich autorem jest W. Monachow.

